KRWIĄ I ATRAMENTEM

TEGOŻ AUTORA

SŁABE SERCA. Nowele. Wyd. 2-gie . . . . 6 —
PSIE DUSZE. Nowele i obrazy. Wyd. 2-gie . . . —
STARE GNIAZDA. — NOWE PTAKI 1 50
PIERWSZY GRZECH 4 50

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

KRWIĄ I ATRAMENTEM

NOWELE

U ZAPOMNIANEJ STRUGI. — PAPUGA. — DZIEŃ BEZ SŁOŃCA. — U ŚWIERKU. — NIEDZIELA. — POBOJOWISKO. — MĄTCZYNA DOLA. — NA WIOSNĘ. — W SIODLE. — NA POLSKICH DROGACH. — POGRZEB.—ZŁE MIASTO.—Z SIERPNIOWYCH DNI.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

U ZAPOMNIANEJ STRUGI

Nad rzeczką, której nazwa zapomniana od wieku wyłoniła się dopiero z ludzkiej pamięci w dni wojny, — wstał z czarnej, nocnej głębi twardy, skuty mrozem dzień.

Zaledwie oślizgnął się blaskiem po dalekiej, kościelnej wieżycy i na korony starych drzew spojrzał, jakby przedewszystkiem wdzięki życia — wiarę i przeszłość pozdrawiał, a po ziemi nie rozejrzał się jeszcze, co przyniosła, co zabrała noc, gdy już buchnęła jasność od pola, tu, — tam. Nagle zwalił się łoskot i roztłukł, w szybkiem turkotaniu rozsypał. I znów od skraju podniebia, z blaskiem zerwał się grom, ponad ziemią mroczną, cichą gnał, aż lasu dosięgnął, w każde drzewo uderzył, a każde, jakby odjękło:

— Wiem! wiem!

Wraz, nizko, u leśnego podnóża zabiegały światełka, jak żywe, i długim, równym szeregiem okna rozbłysły, zastygłe w martwocie

bezruchu. Odezwały się głosy, jeszcze jakby półsenne, niepewne, a może z nocy strwożone. Padło pierwsze przekleństwo, ostrym jękiem wydarł się czuwający ból ludzki.

Na buro-szarem pustkowiu szybko wyłonił się z mroków kształt ciemny, długi — pociąg rozświetlony oknami. Już białe ściany się znaczą, a na nich wielkie, czerwone krzyże. Gdzieś tam, u końca odemknęły się drzwi, buchnął kłąb siwej pary, a w nim postać kobieca i głos dźwięczny, radosny. Zeskoczyła „siostra", zaśmiała się do jasnego dnia, jak śmieje się zawsze do ludzi, do rzeczy, do umarłych, do żywych, zawsze szczęściem płonąca, różowa, bezkresna w nieczułej głupocie, podkasana, opięta, jakby przemocą wtłoczona w skórzany futerał — panienka, *z kresta.*

Wnet odpowiedział jej głos, podbiegł ktoś spiesznie, dźwięknęły w ukłonie ostrogi i potoczyła się wartko rozmowa, pełna śmiechu, świergotu, przepojona życia radością, pragnieniem użycia wezbrana, kipiąca... I zerwała się nagle, gdy z okna wagonu padł wyraz namaszczony powagą, dostojny:

— *Czaj!*

I poniósł się przez zwarte ludzkie gromadki, na wszystkich ustach zawisnął, aż odpowiedziało mu echo, od końca do końca pociągu, echo radosne.

— *Czaj,* — *czaj!*

Aż dobiegło białych, wielkich namiotów, gdzie w bezwładzie nocnej gorączki, bólem sprężeni usłyszeli je ranni żołnierze, i jakby prąd życia i mocy jasnym promieniem ulgi i dobrej nadziei przeniknął poszarpane ich ciała.

Przywstał ze słomiastego barłogu człowiek i jęknął nagłym bólem szarpnięty. Lecz tejże chwili twarz brodatą, ponurą, jak zbrodnia, rozświetlił dziwną pogodą uśmiech dziecięcy, na widok siostry, zdającej się w kłębach pary jakiemś lubem, nieziemskiem zjawiskiem.

— *Czaj... bratcy...* — szepnął z wysiłkiem.

Coś nim targnęło, zaszamotał się nagle i jakby niewidzialną mocą pchnięty, dziwnie jakoś pochylił się na bok, palcami zlekka poruszył, jakby coś chwytał i ustał i — minęła go kolej.

A tuż, obok chciwie wysunęły się ręce czarne, zaskorużłe we krwi i błocie, utuliły jasny, szafirowy, jak niebo garnuszek. Dalej inne, roztrzęsione, słabe ciężaru nie zmogły; patrzą oczy błagalnie w surową twarz siostry, a tam poi z łyżeczki rannego towarzysz, niby tkliwa piastunka ostrożnie ją niesie do samych ust, bólem skrzywionych i, niby chore dziecko zachęca:

— Pij, pij, gołąbeczku, to przecie herbata. Bardzo dobra herbata i cukru w niej dużo, a ty lubisz, — wiadomo.

Ani poznać człowieka, który jeszcze wczo-

raj, oszalały w poczuciu swej władzy, prawem krwi przelanej za — ciebie, roztargał ci dobro, w bezmyślnej złości po polach rozrzucił, w ciszę chat wiejskich z bagnetem się wdzierał...

I oto, nagle poraziła go kula niemiecka, a polskie serca wzięły w opiekę i jakże wzruszone każdym serdecznym wyrazem...

Inny tu człowiek. Gdy w śmiertelnej niemocy się chyli i szepce zsiniałemi ustami, że on dotąd nie znał polaków, nie wiedział...

* * *

Jak ów zabiegliwy rolnik, co przed wschodem się ocknie i, zanim pierwsze blaski zejdą na ziemię, już sposobione dzwoni narzędzie, a wraz gdy jasność dnia spłynie, leżą martwym rzędem pokosy,—tak żniwo śmierci, w stukocie karabinów, o mrokach przedświtu poczęte, już z pierwszym promieniem dnia zbudzonego niesie pilny swój zbiór.

Od pola bitwy, od krwawej strugi dudni wóz sanitarny, rżnie ostro, na przełaj, po twardej grudzie podoryw, tu się zaprze, tam skoczy, wielkim głosem rozjęknie, znów kołami na wysokiem zawrociu uderzy, aż konie przystaną, w niepokoju spojrzą za siebie i wraz targną na równą drożynę. Nagle sołdat je szarpnie przed „punktem“, z kozła spadną z łoskotem buciska.

— Ej! — połuczi!

Skoczył żywo, z serdeczną ochotą, sanitarjusz z polskiej „siódemki“, ciężkiej płachty odchylił i spojrzał w ciemne, dymiące oparami krwi świeżej, wnętrze.

— Raz, dwa, cztery, sześć, dziesięć... Hej— chłopcy!

Umiejętne, ostrożne ręce sięgają między zwalone, pojękujące kłęby ciał ludzkich i coraz to pyta się ktoś:

— Jak ciebie brać?

— Ja panie, w żywot.

— Mnie, w nogi od granata odprysło.

— Oj, boli, boli!...

— A ty?

— Pan! Dokończ ty mnie.

I na światło wysuwa się zwolna łachman obłocony, stężały, a w nim twarz ludzka sina, spalona, oślizła, a tem straszna, że krwi na niej ani śladu, tylko blado-różowe, wymyte do czysta, dwa martwe oczodoły — patrzą.

Osunął się łachman na nosze, otulili go kołdrą wschodnią, jaskrawą, kwiatami dzikiej barwy znaczoną, ale aż ręce niosące z przerażenia zmartwiały, gdy zerwał się człowiek, zakołysał wielką żałością targany, rozpacznie głowę ogarnął:

— *Za szczo on mene sołnce zabrau?... za szczo?* — i dla rąk błędnych szukał oparcia i jakby rozełkanym śpiewem ojczyzny, zawodził:

— *Za szczo, dobry ludi?... Za szczo?*

A jednostajnie, boleśnie, jak pogrzebowe wzywania, za nim i przed nim:

— *Hospodi, Boże... Hospodi, Boże... Pomiłuj*!

Głucho w mroźnem powietrzu głos ginie, bez echa odchodzi, a tam z ponurego wozu osunął się na nosze człowiek krwią ociekły, podarty, usta szeroko otworzył, jakby się zbierał z ostatnim wysiłkiem, i nagle szarpnął za polskie serca swój, rodzimy ból:

— O Jezu!

I tak się zdawało, że wzniósł się górnym jękiem ponad wszystkie ludzkie cierpienia Polskiej Męki głos. Jeden w nim wyraz, rwący się z piersi rozbitej, a tyle rozpaczy, beznadziejnych żalów i tak wiele — przeszłości.

Bo niemasz pono kraju na świecie, od ziemi dalekiej, gorącej, po zimne skały północy, przepastne syberyjskie bory, gdzieby nie rozległ się ów jęk trwogi śmiertelnej... nie masz pono narodu, któryby tego krzyku żałości, zmagającego się z twardą bezlitośną dolą, polskiego żołnierza, nie słyszał.

Od wieków po ziemi się wlecze, gdzie wojna, gdzie męka, bezsilne rozpaczne — o, Jezu!

Ale mało w niem jeszcze żałości, bo nie sięga wysoko, nie wymodliło niczego z twardej doli — niewoli.

* * *

Głębiej w dzień, głębiej w okopy śmierć sięga i głębiej zasuwają się ręce w ciemne wnętrza bud, krzyżem znaczonych. Gdzie na ośmiu w nich miejsce, po trzydziestu bywa, jak snopy, zwalonych w pośpiechu. Górą w kłębach ciała jęk się kotłuje, a spodem w martwej ciszy często już człowiek...

Gdy zaś dzień blady wczesna, przedwieczorna szarość ogarnie, walka mocy przybiera: gęściej tłuką i warczą bojowe narzędzia, jakby pracy żal było dnia, który już schodzi.

Lecz śmierć żwawiej kładzie, niż zbieracz nadąży. Dudnią wozy w pośpiechu, cały ich szereg krętą koleją od płonącego horyzontu przez martwe pola się wysnuł, a tu mdleją ręce z wysiłku i miejsca już braknie. Aż przyszła chwila: gdzie kłaść, dokąd znosić? zaś wozy podeszły i kręgiem szerokim wielki jęk ludzki rozkołysał się — wzbiera, nizko nad ziemią, o twardą grudę się tłucze, to nagle się skłębi, gdy świeża fala podejdzie, pieśnią bólu uderzy, to znów jednostajny, żałobny, jak głosy dzwonów cerkiewnych, gdy z żalem ponurej, beznadziejnej modlitwy się zleją i płyną w dalekie bezkresy, gdzie już nikt ich nie słyszy.

Na jednych noszach dwóch wnieśli: ten z brzega zgruchotane ma nogi, drugi w białych kłębach opatrunku głowę spowitą, tedy ból do bólu złożyli, obok nóg głowę, zaczem spojrzał

po namiocie sanitarjusz bezradny, bo to byli ostatni, dla których ledwo znalazło się miejsce. Do urzędnika, świecącego zdrowiem i złotym blaskiem zasługi, się zwrócił:

— A reszta?

— Poczeka.

— Źle opatrzeni... na mrozie.

— To trudno... Jak komu sądzone...

I fatalista ręce rozłożył, chwilę pomyślał, spojrzał po zbitej gromadzie leżących, kędy ledwo z trudem przecisnął się człowiek, i do najbliższego z ranionych się zbliżył:

— Ciebie jak zwać?

— Fiedotow Archip, Aleksieicz.

— Drużyna?

— Trzydziesta szósta.

— Rota?

— Trzecia.

— A raniony ty, — gdzie?

— Ot, palce... Cztery palce zniosło.

— Znaczy że lekko. Won, uchodi.

Dźwignął się ranny, spojrzał bolesnemi oczami, a tam już z drugim rozmowa:

— Ty, kto?

— Omielniuk Tierentij, Siergiejew syn, — drużyna...

— Raniony?

— W piersi.

— Na wylot?

— Nie-e, ale...

— Nu, pusta twoja rzecz... Wstań-ka.

Zachrzęszczały zmarzłe gałgany i jakby ból w nim zaskrzypiał, a gdy z barłogu się podniósł, kurcz go chwycił za usta. Chwilę mocował się z nim, aż wezbrał z głębi skowytem:

— *Wasze... bła-rod...* — i znów ścięły się szczęki.

— *Nu, nu, — nieczewo klanczit'... Uchodi, gawariat.* Na oniemiałego sanitarjusza spojrzał z wysoka, z pobłażliwym uśmiechem.

— Ot i oczyściły się dwa miejsca dla pana, a tu jeszcze połowę można ich przebrać.

— Nie mogę... — głos w nim się złamał.

— Nu-u... serce rozkisło... E-ech, paliaki Nigdy wy nie dobijecie się swego; bardzo już miękki wy naród.

Łzy, jak dwie skry płomieniste, w oczach młodych błysły, zacisnęły się ręce, lecz już tamten życzył mu zdrowia dobrego, zawrócił, pozostawiając bez rady, bez władzy serdecznych uczuć ofiarę, na nocną pracę, w ponurym baraku.

Kędy, za drzwiami zbita gromada się tłoczy, zawodzi:

— *Ej, pan! — miłuj,, pusti:*

A za chwilę już wyje, rozżarta:

Ach ty — niechrist, — parsziwyj palak

Zaś, tobie, bracie, Polska się marzy, droga ojczyzna. Powiadasz, że ci ją odda, — ich lud.

* * *

A skoro świt, zjawia się tu doktór — urzędnik, spojrzy z jakimś krzywym, nieszczerym uśmiechem w stronę słaniającego się sanitarjusza i do „siostry“, radosnej, jak zorza wiosenna, się zwróci:

— *Kak pocziwali siestrica?*

Potem spojrzy po zwałach żółtobrudnych gałganów i kołder zielono-kwiecistych, gdzie ciężkie opary krwi, potu, oddechów, ciepłemi smugami w nocnej ciszy zastygłe, nawisły i podchodzi koleją, odchyla szmaty krwią przepojonej, szuka życia w człowieku.

I czeka, aż zamierające tętno pochwyci, czasem ledwo za niem myślą nadąży, niekiedy z uczuciem niemiłem cofnie rękę od ciała zimnego.

Dwóch, wtedy szybko podejdzie i nosze raźno podźwigną, spory kęs drogi poniosą, gdzie u strugi, zdeptana młoda choina, a stare matki świecą białemi ranami.

Tam złożą trupa i sprawnie zedrą z niego rządowe gałgany. Na nagiem, zmożonem ciele zostanie tylko krzyż duży miedziany na sznurku i, rana, — co własne. Ktoś westchnie: E-ech, — bratcy! — ktoś zaklnie i zepchną

w dołek, z krawędzi, aż twarda ziemia odjęknie, potem czapkę, jak zwyczaj, położą na oczy.

Zmarzłą grudą przyrzucą i — naści, cud bohaterze, — pochówek.

Dzień nowy wstaje; od pola, od krwawej strugi, wóz dudni, jęk konie pogania. Obowiązek śpi jeszcze; czuwa polskie marzenie, czuwa praca ofiarna.

PAPUGA

Na jasnej linii horyzontu pustkowia podniósł się cień ludzki. Bliżej i bliżej, szerokim piasczystym wydmuchem, kędy gdzieniegdzie kępiasty, zwichrzony jałowiec, u zapomnianej drogi stoi na straży, a zrzadka sosny skarlałe, gałęzistemi spodami strzegące nędzy żywota, bliżej i bliżej — chłop idzie. W zrudziałej czapie baraniej, w odświętnej kapocie, z której słońce już dawno kolor wymyślny wypiło, strojąc ją wzamian w barwy złotawe.

Na kosturze się wspierał, w sakwie niósł bochen chleba.

Chłop, jakich wielu się po drogach spotyka, zaś ta jedna, i to niezbyt rzadka, osobliwość w nim była, że na nogę utykał, przetrąconą w kolanie, snadź ladajako zrośniętą, przed laty.

Ale szedł sporo, raz po raz czapkę poprawił, garścią po czole przesunął, jakby w myślach niósł troskę, i brnął w siwych kłębach piachu, wlokąc za sobą ciężkie nożysko — życia przekleństwo.

Toć po Błonie, za Błonie, het, po sam Mszczonów, Nadarzyn, któż go bo nie znał, a każdy:

— Ho, — ho!

— Co, niby?

— Ho, ho! Chłop-kuternoga od Boga znaczony. Wiadomo...

Zaś, w Bożej woli, skąd z dworskich czworaków, a z dziada na własnem, ród swój wywodził, — w Bożej woli, z dawna osiadły, człek stary a mądry — Michał Gąśta, tak o nim powiadał:

— Chłop szkódny, ale przecie Boski znak na nim. Niby, jak ta wiecha, u drogi, że tędy jechać niebardzo przezpiecznie.

A kumy, wiedzące przemawiały, — do słowa:

— Oj, nie ujadzie w niego, nie, — nie. Tyla z niego uświadczy, co wilkiem zaorze.

Gdyby jednak kto spytał — co zrobił? dlaczego tak źle o nim myślano? — nikt zgoła odpowiedzi by nie znalazł, nie wiedział. Jak bywa, gdy krzywda głupstwa ludzkiego, czy złości do człowieka przystanie, na zawsze, jak i cnota niektóra, bez początku i skutku.

Już-ci dziwne to było, a może i złego pojęcia przyczyna, że chłop nigdzie miejsca nie zasiedział nadługo, nagle z obowiązku się zrywał, choćby mu najlepiej się działo, i precz stronami wędrował, innej doli — odmiany szukając

Ale, zła sława szła jego śladem, na wyprzódki biegła:

— A nie bywał tam, u was — Papuga?

Bo i takie dziwne przezwisko wlókł wszędzie za sobą, jak swoją ułomność, chłop cichy, zająkliwy, niezdara...

— Pa... pa... ga... ga... ga...— tak w sobie bełkotał zanim słowo wymówił.

Musi z tego i poszło przezwisko.

I, ono to pono-ć — przezwisko, najwiecej bolało, jak zawsze, gdy człowiek zgryzoty rozumem ogarnąć nie może.

Owym rozumem, co niby zły dłużnik, gdy człek dobrej wiary do niego się zwróci, zadziwi się zrazu, zaczem ręce rozłoży bezradnie i rzeknie:

— Cóż ja ci, bracie kochany, pomogę, kiej u mnie od roku do roku — przednówek.

* * *

Aż ci już bardzo rozjedli się ludzie i poczęli ciąć kupą, jak owe robactwo, gdy dojrzy miejsce bolące.

I już mu życie było niemiłe, ale toć-by Pana Boga obraził i duszę wydał na męki. Tedy złe myśli odżegnał, oblekł kapotę odświętną, tę samą, i wnet, jakby żałość z serca mu zeszła, gdy się przed ołtarzem rozciągnął, kędy Pan Jezus zdziebko pochyloną główką ku niemu spozierał,

ani chybi, rozumiał, że chłop korzy się, czeka łaski zmiłowania, błaga głosu Pańskiego.

Ale wiadomo, nie taki tam znowu mowny Pan Jezus...

Chłop się dobrze udręczył, już go słabość morzyła, bo nic nie jadł, precz czekał słowa Pańskiego, raz po raz żałośnie spoglądał, aż ci dobrze pod wieczór, gdy już szare mroki kościół oblekły, a ruszył dziad z zakrystji i mrukliwie snując po nawie, sprawiał codzienne przeglądy, coś się dziwną słodkością po chłopie rozległo, oto słyszał wyraźnie, granie, nie granie — głos Boski:

— Do roboty, kajniebądź, idźta z Bogiem Ojcem, — Capiga.

I, jak się należało, poczciwie, z ojcowskiego nazwania — Capiga, jak w tabeli pisało — Capiga.

Zaś błoga spokojność nań zeszła, że już niema co się na chybny rozum oglądać, lecz z Boskich darów jednym „palicom" zaufać, a licho-ć by się zdało, żeby zaś dziesięcioro nie wyżywiły chłopa z drobiazgiem.

Zaczem i ruszył, i oto na drodze. Przed nocą się zebrał, noc przeszedł, a tu już słońce wysoko i pali. Całą moc wyssie z człowieka, chwilami aż mroczy, w głowie całkiem podczas zamąci, zaś trzeba myśli zbierać do kupy, — gdzie? poco? — aż sporzej kroku chłop podda,

byle dalej od ludzi, od swoich, co mu takie cudackie wymyślili przezwisko.

— Papuga!

I chłop splunie w kurzawę.

Ale myśl nie odleci; już zasiadła pod czapą i — swoje:

— I żebyś to ciemny człowieku choć wiedział, co znaczy takie wyzwisko? Możebyś się odgryść potrafił, zasłonił, coś radził... A tak, ino cierpieć a cierpieć, jak od owego choróbska, co to ssie, dręczy, bez żadnego sposobu, bo ani wiadomo, w czem jego złość siedzi?

— Papuga!

Zaś litaniją chłop pocznie, a tu znowu myśli odmiana:

— Toć może i niezgorszy ów naród, tylko mu głupstwo na zdradzie. Toć blizki, toć swój, jak ta ziemia, gdzie człowiek się rodził, a tu coraz dalej od łąk Bożowolskich, co właśnie rozpachniały się teraz, coraz dalej od strugi, od chłodnej dąbrowy...

Chwilę zastanowił się, ustał.

I dokąd-że idzie? Dokąd, od ziemi czarnej, dorodnej, i gdzie go te szlaki piasczyste zawiodą, kędy bokami taka chuda ozima, a ówdzie blade źdźbła owsa, co ledwo z ziemi wyjrzały ku słońcu, już omdlały z pragnienia.

— Spoli na nic... — spojrzy Capiga po

smutnych poletkach i westchnie, boć we krwi ta blizkość, niepokój o losy posiewu.

Lecz wnet żałość się ocknie:

— A niech-ta se spoli, — niech ich wytraci... — i kroku przysporzy, bo oto las chłodny, rzeźwiący ciemnieje. Tam skiba chleba czarnego i, jeszcze szmat drogi, zaś szczęśliwa, może odmiana, — obowiązek we dworze.

— Już się ta do roboty przyłoży Capiga... Nie powstydzi się — nie...

Zaś od zachodu wiaterek wilgny, ciepławy pociąga, falę pyłu pogania, wraz zakotłuje, w wielki lej skręci i spodem poderwie, aże chłopem obróci.

Nie nowina — wiatr w oczy.

* * *

U dworskiego obejścia zamedytował się chwilę, jakby zbierał z siłami, bo zdrożony był bardzo, lazł ledwo, a raz po raz jakby ciemność mu na oczy schodziła.

Siadł u przyrówka.

Zaczem, gdy raźniej odetchnął, spojrzał po sobie. Zwolna zezuł buciska, wytrząsnął. Brzegiem kapoty pył z nich otrzepał. Obficie w garść splunął i wytarł cholewy.

— Ano...

Zdjął czapę i włosy przygładził, że to prze-

cie dworsko sługiwał, korzyść pierwszego wrażenia rozumiał.

Ruszył żwawo w obejście.

— Doma pan dziedzic?

Parobek folwarczny spojrzał ku niemu sennemi oczami niechętnie, od czapy do bucisków wzrokiem przemierzył, snadź pomiarkował, że swój człowiek, bo już się bez odpowiedzi wzgardliwie odwrócił. Nagle, jakby coś wspomniał, jeszcze raz bystrzej w twarz jego spojrzał, zabłysły mu oczy, i gębę w szerokim uśmiechu otworzył.

— Papuga!

Jakże to się chłop w miejscu obròcił, jakby kto warem w oczy mu chlusnął, wnetki wyparł za bramę; już go piach siwo-płowym obłokiem otulił.

Zaś parobek rzechotał:

— Wej, — wej — Kulos, Papuga. Kaj ześ tu zalazł, kwaterunku se szukać? Ady — go, chłopoki, — — Papuga!

I w mig dziatwa ochocza wybieżała z przydrożnych czworaków, a widząc bezbronnego człowieka, śmiesznie wlokącego bezsilną nogę za sobą, rozgorzała w radości:

— Ady go kulasa! — i żwawo sypnęły się za nim kamienie.

— Ady — go... Bukiet! Na tu, — na, Cucka...

— Ha, ha, — ha, — uciko... Patrzta ino, jak to kulos uciko.

— Haź go, sam, — Bukiet, — ady go! haź, — haź!

Aż, gdzieś, na rozdrożu chłop zwinął się, padł; do zmroku w słonecznej spiekocie przeleżał, gdy zeszła nań rosa żywiąca i zbudziła myśl w bôlu zakrzepłą.

Dźwignął się, powlókł, jak zwierz, gdy już niemoc chwili śmiertelnej nań zejdzie. Z sił ostatkiem wtedy się zbiera i pełznie w zaciszne schronisko, jakby obawiając się ostać ludziom na oczach.

Szedł chwilę i osłabł, a gdy mąt oczy przysłonił, osunął się w kępę przydrożną. I otuliły go liście, tchnące chłodną świeżością, i tak mu się zdało, że ktoś w ręce bardzo poczciwe ujął jego głowę osłabłą.

— Naści, Capiga: namordowałeś się dość, — tu se odpoczniesz. Wej, niedaleczko i krzyżyk nad tobą, zaś wierzba głowiasta — chłopska drzewina. Tu ci folga się patrzy. Układź się, układź, Capiga.

* * *

Nie z próżna wiaterek od zachodu pociągał, jakby swej woli próbował; nocą sił przybrał, szerzej nieba ogarnął i przygnał chmurę świtaniem. Gdy zaś nad wioską szeroko zaległa, jakby jeszcze mrokami nasiąkła, zadumała się chwilę w cichości.

W cichości lud w niebo wzniósł oczy, w cichości zamarły listki omdlałe, i snać zaważyła u Boga modlitwa bez głosu.

Het, jak okiem doleci, zakurzyło się pole, ruszył deszcz falą, do południa śmigał, aż kipiało w przegonach.

Lubowała sobie ziemia w odmianie, i wraz ruszył lud sporzej, zakrzątnął się w polu, pochyliły się baby w redlinach, gospodarze wylegli na miedze, spoglądali po swojem, po cudzem, pogwarzając sobie:

— Napiła się ziemia, dowoli napiła.

I, jakby tkliwszy zdawał się lud, gdy z duszy zeszła mu troska. I jakby w nim myśli poczciwej przybrało, a serca przyrosło.

Wnet, bez wezwania, gromadą się zeszli pod krzyżyk u drogi, — dziękować. Zaś, ledwo ku niebu się wzniosła pieśń Boża, wplótł się w nią głos obcy, — nie zdołał!... Tylko jękiem się rozległ, bolesną żałością ugodził w pieśń szczęścia, — aż zmilkła, i ludzie po sobie spojrzeli.

Ten i ów śmielszy ruszył, skąd głos. Ano, chłop w kępie. Blady, zwichrzony, na łbie rana zapiekła.

— Zechloł się, musi.

— A juści... Zechloł sie tam, kiej ledwo duch w nim kołacze. Dźwigaj go, ino!

Ale im wzbronił stary Matusiak.

— A ja woma powiadam: nie ruchajta go

ludzie. Kiej dusza upodobała sobie to miejsce, niech se w spokoju z ciała ustąpi. Zaś, byśta ciało zabrali, a owo,—dusza ostanie?

— Pokutująca, ostanie.

— I drugie, — prawił dalej kum Matysiaków, co na urzędzie sługiwał,—i drugie: gdzieś sobie legł, tam ci umiraj. Na to jest prawo.

— Prawo — wiadomo, ale zawdy, — dusza chrześcijańska. Trza by do gminy odstawić.

— Odstawić? Trza by na podwodę mieć papier.

I zadumali się ludzie nad kłębem mokrych gałganów, skąd krwią obroczony łeb chłopski nieufnemi spoglądał oczami, aż ci po dłuższej chwili ozwał się Pietrzak, co lubiał, żeby jego słowo było na wierzchu:

— Ano, to do wójta dać znać, — na to wychodzi.

— A jak pomrze, do czasu?

— Przez Boskiej woli nie pomrze.

I na tem stanęło, i rozeszli się ludzie.

Zaś chłop począł się dźwigać; do gminnej opieki zgoła mu pilno nie było, wnet jednak zmiarkował, że nie poradzi, bo słabość nogi mu zgina, na zmarnowanie chyli do ziemi.

Ale i chłopski, mdły żywot ma Pan Bóg w swej pieczy, i sprawiedliwie, że bez Jego woli nie dzieje się nic, ani śmierć się nie zjawi, ani ratunek.

Bez Jego woli, pod czas, pan dobry drogą nie jechał, a choć konie rwały ostro w twardej kolei, w mig je zatrzymał i krzyknął:

— A skocz-no i zobacz, kto leży!

Chłop liberyjny prysnął z koziołka, podbiegł ku przydrożnym krzakom olszyny, wywlókł zwisającego mu w rękach nieszczęsnego Papugę.

— Pomarł, czy co?

— Dawaj go sam!

A gdy mocno potrząśnięty, na pańskie pytanie wyjąknął:

— Za robotą, ja—panie... Gorąc me zmorzył... Nie jadem... — i zachybotał się znowu ku ziemi, — już-ci, że wola Boska go na koziołek podniosła, i targnęły z miejsca dwa gniade.

Hej, jak to chłopu zdarzył się los!

Zdarzył się los, boć taki był dwór, skąd nie odchodził nikt, a gdy ojca Bóg zabrał, syn służył, bo o lepszej doli dla siebie nikt nie pomyślał. Zaś, cóż lepszego chłopu zdarzyć się może, gdy pan sprawiedliwy, a o dobro swoje niebardzo dbający, co mu i chojak nie krzywda i parę półkorczyków nie strata, i kartofli dla ludzkiego świniaka nie żal, a tobie bracie kochany, — pożytek.

Niechby rzemienia kawałek, niechby garść gwoździ, a przecie dobra we folwarku niemało, — ze wszystkiego dla ciebie — ta okruszyna.

Tedy, jak familija, wspólne dobro mając na oku, zwarł się do kupy lud Boży, i dworscy ze chłopstwem, co wielkiem koliskiem u rzeki, u samych łąk pańskich, siedziało, kumali się radzi, zaś każdy parobek, gdy się nieco przy dworze osiedział, sięgać mógł śmiało po wiano gospodarskiej dziewuchy.

Ale, obcy nie miał żadnego dostępu, bo jedno przy drugiem, jako ten las, dwór od świata grodzili, nie żeby przez zazdrość, ale ku dobru pańskiemu, że to, pod te czasy, zawsze bezpieczniejszy swój człowiek.

A tu nagle, jak z deszczem, chłop obcy w obejściu. Nikt go na oczy nie widział, nie słyszał nikt o nim, a że szkódny, toć z oczów mu patrzy. I ani zrozumieć, skąd taka pańska ochota, — zbierać chłopów po drodze, jakby swoich nie było zadość.

Zaś trzeba coś radzić, żeby się czasem nie osiedział przydługo, zamedytował się, ano, lud Boży.

Zaczem familija za ręce się wzięła i — huzia na chłopa.

Ale!

Bo nie taki był chłop, żeby tak zrazu go dojąć. Nie nowina mu była złość ludzka. Ani spojrzał w tę stronę, skąd złe słowo, czy postrach, ani, zdało się, widział, kto mu stoi na zdradzie.

I tak ci Święty Jan minął; nie ułupali nic z chłopa, ale mu jeszcze przysporzyli zasługi.

Więc uradzili odmianę i z dobrem słowem do niego:

Bo to widzita, — Capiga...

Zaś wskórali — nic, bo się chłop zaciął, niby te drzwi od śpicherka, kędy już z dawna nie otwierał nikt, a człek stoi nad njemi, bezradny, miarkuje, że ani sztuką, ani żadnym sposobem nie dojdzie do mety.

Aż odezwie się ktoś:

— Tu na siłę by trza.

— Ano...

* * *

Twardy był chłop, bo twardy, nie z dzisiejszych, co kruche. Toć pierwszy go zwalił porządkowy Witkoski, nie ułomek zgoła, zaś familija nań wsiadła, — nie daj Boże nikomu, gdy w kupie chłop bije, ale oto miesiąc nie wyszedł — zdrowiuteńki chodził Capiga.

I, jakby na oko, nawet mniej zdziebko na nogę upadał i jakby siebie pewniejszy, ale już ani dostępu do niego nie było, takie miał zachowanie u dworu.

— Capiga, — sam, Capiga, — tu, jakby już nic przez Capigi. Ani nic zacząć, ani nic skończyć.

— Niedługo zaś tego.. — powiadali inni, łaskę pańską znający.

Długo, niedługo, ale chłop, jak ten perz, niech ino ma folgę, rozrośnie się tak, zakorzeni, że i owe ziele, co pobok, wysuszy, ogłodzi.

Jakoż zakorzenił się chłop, na Mateusza babę sprowadził z dzieckami, z całym domowym porządkiem.

Co najlepszą izbę w czworakach im dali, krówsko na odrobek.

— Nie poradzim mu już... — i ten, i ów już się garnie ku niemu, już w kumy go proszą, hej, nawet dziewki zęby suszą do chłopa. Już ekonom, karbowi dobrze się z nim liczą, a i rządca potrochu — nie dziw, że i chłopu nareszcie jaśniej na świecie się zdało.

A baby, jak to baby, ku babie. Wnet się jęły użalać, każda ze swojej zgryzoty, a potem, powoli, gdy się lepiej zaznały, i jej żalom przyświadczać. Jako że nic gorszego, kiedy chłop nie osiedzi się we wsi, we swojej, tylko światami wędruje.

— Tyli stuk drogi, z Bożej woli i tutaj... — powidzta.

— A kobietę ostawił na łasce...

— Ślubna żona gdzieś, het, za lasami.

— Już to najgorsze kiej chłop wędrowaty.

Zaś flaszeczka miętowej i — żałość nad dziećmi.

— Biedne wy moje, robocki, żebyśta, ino już z nami, ostały.

— W wasze ręce, matka Capiga.

— Pijta na zdrowie.

Zaczem łzy z miętą, — otworzyły się serca.

— Moiśta drodzy...

— Dobrego.

— Tyli stuk drogi, — powidzta. Krzywda mu była, czy jak?

— Bo to, widzita...

— Ady, — popijcie...

Aż ze splątanych żałością wyrazów, co jak ten powoik łąkowy wokół każdego źdźbła myśli się wije, wśród zawodzeń, chlipania, padło słowo bolące...

Cichym szeptem w obejście pobiegło, — niepojęte, złe słowo.

* * *

A zanim późne zeszło świtanie, już złe słowo wszystkie czworaki obiegło, rozkołysało się w mocy, przy rannym udoju. I wraz z pełnej piersi ktoś huknął w podwórzu:

— Papuga!

Aż zachwiał się chłop — ugodziło w bolące.

— Ha, ha!

A gdy, o południu zawrzało, het, po kopce graniczne, po lasy, i lada dzieciak, bijąc się w krzyże piętami, pokrzykiwał radośnie:

— Papuga, — papuga, — papuga! — chłop żegnał się z żoną.

— Ostań ze z Bogiem najkochańsza ty moja... Zaś trafi się służba... to już czekał nie będę i zara, — po ciebie...

Coś tam w nim zatargało, ale przecie twardy był chłop. Z czepiających się dzieciaków kapotę ogarnął, babie cisnął jeszcze słowo żałosne, i poszedł w szarą pluchę jesienną.

DZIEŃ BEZ SŁOŃCA

Z poza udającego mahoń stolika, wśród pustki dziwnie bezdusznego gwaru i zrzadka pryskających śmiechów, niosąc się nudą myśli, ponad gromadę rozkołysanych głów ludzkich, piór, wstążek, ozłoconych rąk białych, ust malowanych,—widział tylko wielką szybę kawiarnianej altany, kędy biegły białe, przeczyste puchy śniegowe, umierały w długich rozciekach, na blado-mętnej oślizłej przestrzeni. Człowiek był nowy, lśniący i gładki, niby ów stolik, platery i lustra wczoraj otworzonej kawiarni.

I myślał o łzach, co dziś po nim spłynęły. Po myśli, po sercu, jak gdyby po szkle. Spłynęły bez śladu, bez żalu, bo i jakże inaczej, skoro już taki, odwieczny zjawisk porządek: dni czarów słonecznego zachwytu, chwila burzliwych uniesień i ciepły, kojący deszcz łez.

Właśnie mu dzisiaj życie przegrało tych upojeń — *finale.*

Przed chwilą, według programu.

A jednak...

I nagle płoszy się myśl wytrącona z samolubnej, bezpiecznej kolei, na serdeczne bezdroża ucieka, gdzie żywe wspomnienie drżące, łzami ociekłe, już szybkim cieniem ku myśli podbiegło. Z zimnym, szyderczym rozumem się zmaga.

A żal, — przypadł do serca.

— Za co? Za co stała się krzywda?..

Wraz wysunęły się jej ręce, tkliwe, rozpieszczone dłońki, czepiające się z drapieżną rozpaczą jego ramion, nóg, kolan. Osuwały się słabe z człowieka, który odchodzi. I krzyk, co z po za drzwi się już przedarł przeraźliwy, ostry jak źgnięcie. A po nim, prawie niesłyszane, zaledwie przeczute, lecz niezapomnianym ciężarem spadłe na duszę, echo bolesne, gdy nieprzytomna głowa w drętwej żałości o podłogę uderzy.

— Za co?

Niecierpliwie poruszył się człowiek, jakby chciał z siebie niemiłe wrażenie otrząsnąć; zbyt był rozumnym, zbyt męzkim w rozwadze, aby sercu miał ufać.

Przemógł łatwo chwilę słabości. Jak dziś, o południu, gdy drzwi, za tem, co żyło radośnie, umarło — zamykał.

— Błogosławiony który nie wraca...

— A jednak...

— Nic — jednak. Przeżyliśmy szczęście jak przeżywa się kwiaty i dzień.

— I krzywdę i łzy?

— Jak radość i śmiech.

Rzekł sobie — dosyć! jakby myśl w sobie zacisnął i głowę odwrócił, kędy ulicą się wlekło życie zimne, znużone, wlekło się bez śmiechu, bez barwy, szare, nieczułe życie Warszawy.

Zwolna pamięć woli posłuszna zamknęła w sobie zdarzenie. Coś tam jeszcze ostatnim wysiłkiem, rozpaczliwem wzywaniem szamotało się w niej, — ścichło, przyległo pod słowem brutalnem.

Siekł drobny deszcz, wbijał w błoto, bez śladu białych płatków krótkie żywoty.

* * *

Nazywał się, — Cierń. Jak nazywa się przydrożny, kolczasty krzak dziki, gdzie zły los wbija na mękę chrząszcze, motyle — ofiary. Wczesną wiosną, zaledwie pierwsze dni słoneczne rozbłysną w białe drobne kwiaty się stroi. Cały krzak niemi osypany zwodzi lubym widokiem, lecz źle wtedy, gdy dusza wrażliwa tych kwiatów zapragnie, a ręce w młodzieńczym porywie tęsknoty kierz ten drapieżny serdecznie ogarną. Krwią spłyną ręce, a serce zawiedzione jeszcze nie wierzy, aż dojrzą oczy żalem rozwarte ukwiecone ciernie.

I dziwno oczom, gdy już trzeźwo patrzą, że kwiat dziwnie pospolity, tak mało w nim barwy i treści, a taki — bolesny.

Któż by jednak krzak o to winił?

Nazywał się — Cierń, człowiek był do tysiąca innych, przydrożnych podobny. Na ustach miał tkliwość wyrazu, w sercu krew tylko, a w duszy — wygodę. Z niemiłych myśli ocknął się szybko, jakby łzy strząsnął z surduta, zanim weń wsiąkły. Oczy od martwych smutków bladej szyby odwrócił, i na szerokiej sali, drżącej wszystkich uczuć rozgwarem szukał myśli pogodnej, a z nią słońca — uśmiechu.

Nietrudno; dość gładki, dość płytki, miał tak zwane szczęście, żył tylko dla niego.

Ani wiedział że uśmiech już czeka, lecz nie ten upragniony.

Tuż, za stolikiem, przy ścianie, pod drzewkiem laurowem, człowieczyna mizerny wparł w niego oczy rozrzewnione, pijane, jasne oczy dziecięce. I jakby niemi się cieszył, a mrugał w jego stronę przyjaźnie, że oto, za chwilę miłą niespodziankę mu sprawi.

Cierń wyczuł natrętne wpatrzenie, rzucił po nim zimnym, złym wzrokiem i raz jeszcze po chwili, ale już niecierpliwie, a ów tem przyjaźniej do niego się zaśmiał oczami, i głową zwichrzoną raz po raz potrząsnął: — nie szkodzi, nie szkodzi...

Ale nie w porę trzeźwemu panu zdały się żarty, ramionami poruszył wzgardliwie i spojrzał ku swemu okryciu, na służącego zadzwonił, a gdy ów podszedł wtedy człowieczyna się dźwignął, na chybotliwych nogach ku niemu posunął.

— Właśnie... Wódeczkę, dla mnie na ten marmurek... — i wskazał stolik przez Ciernia zajęty.

Zaczem głowę z przymileniem pochylił:

— Wszak z panem Cierniem — przyjemność?

— Tak panie... Ale właściwie...

Lecz już dłoń uczuł w chłodnym, wilgotnym uścisku.

— Brat — Helci Bukowskiej.

I zasiadł za stołem, jako człek zaufany, blizki i wonią gorącą trunków rozmaitych odetchnął.

— A Helcia zawsze o panu... i owszem. Z uznaniem... — głową poruszył i dodał po chwili, krzywiąc blade usta w uśmiechu:

— Z wdzięcznością, i — owszem.

Cisnął się Cierń.

— Panie, ja żadnej Helci...

— Ach! — żadnej...

— Tak, panie, żadnej... — i zamarł, gdy człowieczyna zblakłe, zmętniałe oczy szeroko otworzył, a z nich rzewny, kobiecy smutek

spłynął wspomnieniem na myśli Cierniowe, i tejże chwili, z mętnego spojrzenia wyjrzały ku niemu jasne, cudne, niezapomniane jej oczy.

I nagle zaciążyła myśl, na czole, na powiekach zawisła, przysłoniła oczy, a do mózgu poczęli się tłoczyć jacyś ludzie dalecy, smutni jak niebo bez słońca. A z ludźmi ich słowa, z których każde zda się że płacze, że skarży na dolę, i pełne żałości każde z nich śpiewa. A tam już ze wspomnień wyjrzały biedne chaty podlaskie, przez pół wrosłe w ziemię, i szare ubogie ugory i wody rozlewne, sad wiśniowy, nocą...

Spojrzał w oczy pijane, trzeźwym żalem rozwarte. Szepnął z uśmiechem, jakby go kurcz schwycił za usta:

— Ja pana — właściwie... ja pana — przepraszam.

Brat westchnął, i napił się wódki,

— Nie szkodzi.

A dalej, z chaosu splątanych linij, po których myśl biegnie, doszukuje się formy, z plam barwnych, przechowanych w pamięci, zwolna wyłania się kształt, kolor, i już przed oczami dawnego dworu, z cegieł rumowiska, biały, krwawo otłuczony szczątek. Jakby smutną dolę chciał ukryć, wśród ciemnej zapadł zieleni, co z pni czarnych, zmurszałych wyrosła.

Z pod nawisłego kaptura zgasłemi oczami

w stary ogród patrzy. A tuż, jasna wstęgą, radosna ścieżyna w lube pamiętne zakąty ucieka... I druga, na przełaj ją ściga, w jar czarny, zwalisty osunęła się nagle i szerzej wybiegła i goni, aż ku sobie się zeszły.

— W jedną drogę, pani siostro, idziemy.

— A dokąd? Cierń, przed laty, zapytał i poszedł, jej szlakiem, siadł pod lasem jakby przeczucie go wiodło, i czekał.

Tam spotkał dziewczynę; z jej oczów tęsknotę wyczytał. A sam w kwiecie i pełni uroku...

Jakże dawno to było. Tak się zdawało.

Ale czar mocny wspomnienia pierwszego krwi młodej porywu. Zatłukło się serce Cierniowe, wybiegło tęsknotą, przez sady, w park stary, a myśl nagle rozbłysła: przejrzały się w niej, jak w zwierciadle smutne, siwe oczy... usta — owoc i kwiat.

A pierwsze spotkanie, jakże je wyraźnie pamięta: w tajemnem ustroniu, pod mchami porosłą figurą boginki, gdzie z gęstwy bzów dzikich, kaliny, w skrętach wężowych powój się piął. Na gibkiej łodydze wybiegł kwiatem czerwonym do kamiennych ust, i chwiał się nad niemi, jakby na coś się ważył, niepewny.

— Daj twoje... — Cierń szepnął, pochylił się do niej.

I czyn nierozważny wtedy popełnił: przed-

wczesnym pocałunkiem spłoszył dziewczynę. Z krzykiem wydarła się z rąk, a potem już jej nie zastał przy wieczerzy, w wielkiej izbie starego dworzyska, i nigdzie nie spotkał nazajutrz i długich dni wiele. Zaś ani śmiał pytać, bo dziwnie surowe miała pani matka oczy, wdowa po starym leśniku, na łasce.

I stało się lepiej, bo dziewczyna wróciła — dojrzała. W noc letnią, upałem dyszącą, cisnęła mu przez okno pęk dzikich kwiatów, ubogich różyczek, a przy nich kartka i krzywe litery:

Ja nigdy nikogo jak pana... Usta mnie palą... Będę w sadzie o zmroku.

I coś tam jeszcze, a bodaj że nawet ma tę kartkę, zachowaną u siebie, w wielkiej kopercie pod napisem: różne.

Tak, tak, biała kartka z brzegiem złoconym, pewno z panieńskiego sztambucha wydarta.

A na niej, drżące szeptem gorącym wyrazy.

Lubo przeciągnął się Cierń. Słodka była noc. Rano szczęście na ustach, a w oczach łzy.

Co też się stało z dziewczyną? — ciekawe.

— Więc pan jest bratem panny Heleny? — z uprzejmym uśmiechem do towarzysza się zwrócił. — Tyle wspomnień z rodziną pańską mię łączy, z całą okolicą.

I patrzył z przyjaźnią w twarz bladą, opuchłą.

— Bardzo, bardzo przyjemnie... — i dwoma palcami za łokieć go ścisnął.

Skrzywił się brat, zapił jakieś niemiłe wrażenie.

— A cóż za przyjemność? Pan, człowiek znakomity, bogaty, a ja tylko — brat. Brat Helki, dla pana wystarcza?

I czekał.

— Wystarcza? — zapytuję ja pana?

— Ależ, oczywiście... Przecie ja z całą pańską rodziną... bardzo...

— No, — z całą, nie z całą... Ale ja do pana — nic... bo postęp panie szanowny, — pojmuję i wogóle konsekwentnie i, owszem...

Z zadowoleniem odetchnął, plótł dalej:

— I w każdym proszę ja pana zakresie, czy to przy frachtach, czy w magazynie zawsze — postępowo, — Bukowski, i kon — sek — wentnie... Wystarczy?

Wypił, powtórzył, wparł tępe oczy, gdzieś w przestrzeń, aż zbladły, stężały jak zamarzła woda, w której już nie żyje nic.

Trwało przydługo.

Wzgardliwie uśmiechnął się Cierń, zlekka, palcem go tknął, chciał skończyć przygodę.

— Jeszcze wódeczki.

Ocknął się brat, drżącą ręką ociekający kieliszek przechylił, pół rozlał na ustach, i nagle spojrzał przytomnie złemi oczami w twarz Ciernia. I całkiem niespodziewanie, jakby go w piersi uderzył:

— Ale podła jednak jest dusza w pańskiej osobie, i owszem... — sam aż się zachwiał.

— Ach, tak... — Zlekka zakołysał niepokój myślą człowieka trzeźwego, jak bywa, gdy ktoś chyłkiem ucieka, a drugi położy mu rękę na ramieniu, mocno.

Lecz, z panów był Cierń, opanował wnet chwilę obawy, a gdy zimno groźnem spojrzeniem zwarł się z nim krótko, myśl napastnicza już przyległa strwożona, a krwawe złe oczy wypełniły się łzami po brzegi.

— Ja panie — nic... Wyrwało się słowo, taki głupi żal, bo to... ciężki jej los... A stara, panie, a stara... jakby serce z niej darł...

I widział Cierń bardzo wyraźnie, jak od brzega chorej bezrzęsej powieki tych zmartwiałych oczów oderwała się pełna, wielka kropla i spadła ważko w ciemną strugę na stole.

Krótką chwilę w niej drżała, świetlista, aż ją krążek mętny ogarnął i wchłonął. A, tuż, zakapały krople jak deszcz i utknął głową bezwładną, brat Helci Bukowskiej.

Zatargał nim Cierń, szmatą nędzną, wytartą, skąd rwało się łkanie, a w nim zrazu coś ścichło, jakby pękła natężona moc, zabiegały usta:

— Co z nią, co się z nią stało? Gdzie jest?

Aż wsłuchał się w żal opowieści bezładnej i czekał aż padło z niej słowo, jakby człowiek

słaby, skrzywdzony nagle garść w ścieku zanurzył i cisnął mu w twarz.

Szybkie drżenie pobiegło od serca, już do gardła przypadło, a wraz, przed oczami w starym sadzie noc letnia, rozpaczliwie broniące ręce w jego piersi wparte, a na tchnących żarem, rozdygotanych ustach dziewczyny strasznych przeczuć krzyk:

— Nie, nie... Nie zabijaj!... Nie!

* * *

Za stołem, zasłanym świeżą serwetą, przy czarnej kawie i kolorowym trunku, Cierń głowę osłabłą w zaciśnięte ręce zasunął i słuchał, jak ze strzępów myśli pijanej, z ust śliną ociekłych snuła się dola jasnej jak słońce dziewczyny, ze starego dworzyska — żółtej Helki z Chłodnej ulicy.

— Bo tak, panie łaskawy. Nocą uciekła, leciała za panem. W jednej kiecce, jak stała. A tu codzień coś zjeść, za mieszkanie płać, i z czego pytam ja pana, kiedy głupie niemrawe. Kwiatki w głowie i ptaszki... A tu panie miasto i bruk... I jeden i drugi w oczy już zajrzał, a trzeci pazurami, po mięso... Więc jest przecie kapitał, albo z mostu, na łeb, no i co z tego... więc co? Każdy przecie chce żyć... — I pił, trzeźwiał brat.

Z pijanych żalów, z pijanych porywów budziła się w nim zwolna zimna, przytomna nikczemność.

— A pan szanowny właściwie, jakby cokolwiek się struł... Ale z postępowego punktu... poglądu... to właściwie cóż? Dziewczyna sama szła w ogień, i owszem...

Aż nagle zerwał się Cierń.

— Jedziemy do niej... Zaraz, w tej chwili!— i już ulga promieniem spłynęła na duszę.

Tak, wyrządził jej krzywdę, ale teraz... teraz zapłaci, sercem, pieniędzmi czem zechce, i wróci jej szczęście. Jakże miło błąd okupić ofiarą spełnić czyn sprawiedliwy, czyn ludzki... — radośnie poruszyła się myśl.

Nagle, jakby przysłoniły ją cienie. Co będzie jeśli się do niego przywiąże dziewczyna?— przez długą chwilę zadumał się Cierń.

Może zmąci jej spokój?...

Potem łzy, żale...

Zwolna w myśli rozpełzał się lęk, a człowiek się w sobie zamykał.

I jakoś ociągał się brat.

Brat... jej brat.

A za oknem siekł drobny deszcz, wbijał w błoto, bez śladu białych płatków krótkie żywoty.

* * *

Lecz bywa że w człowieku mieszka ktoś drugi, często zgoła odmienny: wrażliwy serdeczny artysta i w nim właśnie jest dusza. On to przywiódł kochanka przed osłupiałe oczy dziewczyny.

Z piersi jej krzyk wypadł, z ust się zerwał bezsilny, zatoczył, padł w jęku:

— Nie — nie!

I już myśli porwał jej wir, skłębił w szybkiem kolisku ludzi, barwy i rzeczy i wody i las. Nagle ustało w niej serce, a jakaś falista, rozkołysana moc poniosła ją w ciemność dziwnie lubą, kojącą... tuż pod okienkiem śpiewem nocnym zanosił się ptak... od dalekich wód biegły zgodne chóry, kapele i tak cichuteńko trącał w okno liść... Ciszej jeszcze zesunął się on — w miękkie, silne ręce ją wziął i, trwoga i — cud.

Nagle znów serce zatłukło, jakby nagle zbudzony cisnął się w niej ból. Oczy w ręce zaparła, i bliżej bliżej, do drzwi... Już czarny korytarz i schody, i strach od nienawistnej ulicy. Więc szybko, jakby serdeczna gnała ochota, wyżej na piętro, uderzyła w drzwi, i jeszcze wyżej przed siebie, byle dalej od niego, od wstydu, co nagle chciwym płomieniem ogarnął szalejącą, umęczoną myśl. Więc dalej, dalej, aż ciemne poddasze, okno brudem zasnute.

Targnęły niem ręce, poniósł się młody, mocny krzyk zerwał się nagle jakby gdzieś zapadł.

Mgnienie, i z dołu odpowiedział jęk. Dwa głosy, trzy poleciały echem, i wraz zakotłował, jak wicher gwar ludzki w podwórzu, we wszystkie okna uderzył, jakby własną mocą je rozwarl, sięgnął do serc ludzkich, po różne uczucia:

— Co, — co? Co się stało u Boga? Co tam znów, — do cholery?

— Kto — kogo? Bójta się Boga... Kwiatkowski!

I poniósł się dalej, przez bramę, przez Chłodną ulicę:

— Żółta Helka!... Helena... powiadają — Bukowska.

— Żółta Helka... Ta z pod siódmego... Dzisiaj z okna się cisła.

— Szkoda... dziewka była jeszcze nie stara.

— Moja pani, i jakże to ona?... dlaczego?

— A któż to może rozumieć?... Sama może nie wiedziała, dlaczego? Tak, podleciało coś, znagła...

— Mówią że jakiś mężczyzna beł w pomięszkaniu. Stróż powiada że, — z hrabiów.

— A pies go ta — z hrabstwem, — podleca...

I tyle, że do wieczora, o tem podwórze z ulicą gwarzyło — tyle żalu po Helce.

. . . .

Zaś Cierń w kółku przyjaciół opowiedział zdarzenie. Bez przesady, bez wzruszeń. Zyskał jeden urok więcej w oczach kobiecych: przeżył tragedję...

— Gdzieś, na Riwierze... córka księcia podobno... ze skął rodzinnego zamku... *Enfin... peu banale ça...* — tak sobie damy gwarzyły, na jakiejś czwartkowej herbacie.

O ŚWIERKU.

W zwartym, tysiącznym szeregu pierwsze lata życia mu zbiegły, jak jeden dzień wiosny, bez troski, bez walki. Już zrazu, ponad gęstwę współbraci się wybił, był silny, rad życiu, a może — szczęśliwy, bo jedno, a mocne, w nim tlało pragnienie: wyżej, a wyżej, w pąkach nadziei, ku wolnym przestworom. A tam wiosna koroną trud dumny przystroi; tam znowu, o maju, strzelisty przewodnik pobiegnie.

Ale, tuż rzesza tysiączna, kołysząc się zwartą gromadą, zaszemrze. Jak, w szkółce, wśród ludzi, gdy losów szczęśliwych, czy Bożej łaski wybraniec wybije się górnie, z zakreślonych szeregów; ponad miarę myśli i czynu zuchwałą głowę wyniesie, i ruszy w życie — swoim sposobem.

I jakby wzbiera żal — zawiść w wątłych pieniuszkach, gdzie w drzewku jest dusza, a wnet na wyprzódki młode pędy wybiegną.

Lecz tu i owdzie osypie się pożółkłe śmiertelnie igliwie, tu i owdzie słoneczko płomienistą

pieszczotą młode życie wypije, a tam, zrzadka, gdzieniegdzie, pęd silny wychynął, już ustał, jakby rzekł sobie: — co mi tam blaski, — i drzewko wszerz się rozpiera.

Aż zjawią się ludzie dojrzali, rozumni, rozejrzą po zwartym, tysiącznym szeregu i stanie się akt sprawiedliwy przezorności człowieczej:

— Hej, kopać, co większe, bo głuszą.

Wraz, zanurzą się w ziemię ostre, stalowe łopaty sięgną po bujną radość, po wolne życie i pochyli się pierwszy ten najdumniejszy i jakby dreszcz, cichy szelest po misternem wiązaniu przeleci, gdy twarde garście nim targną, ale, jeszcze nie zmogły.

Wtedy chłop buciskami, szeroko, się zaprze, w wysiłku natęży, aż wśród cichości podziemnej coś nagle rozpęknie, coś w czem dziwna żałość starganego tworzywa, w zamyśleniu schodzi na duszę.

A gdy już legł dumną koroną, wolny syn gór, niebosiężnych dziadów tatrzańskich prawy potomek, spojrzy po nim wysuszony, jak stara wierzba na słońcu, człowieczyna — ogrodnik i na dożywotnią służbę zapisze:

Willa Franusinek, małż. Kwiatkowskich.

1 szt. świerk pospolity . . . Rb. 2 k. 50.

Bo właśnie tak się niepomyślnie dla małżonków zdarzyło, że jeden z dwóch świerków, u willi podnóża, schodków cementowych strze-

gący, śmiercią się z niemiłego stanowiska wyzwolił, zaczem należało go odpowiednikiem gatunku, wielkości i kształtu zastąpić — dla widoku, — jak pani mówiła.

Ani wiedziała jakie mądre to słowo, w którem cała treść życia.

* * *

I jakże mu było, gdy z czarnej, ciepłej próchnicy, z lubej świeżości gliniastego podglebia poczuł się w szczerku suchym i zimnym na tak zwanej „parceli“.

Za nietknięty, wypieszczony przez słońce pęd wierzchołkowy stróż Michalak garścią go ścisnął, do prostości zrychtował, i wokoło zajadle udeptał, poczem piasku przyrzucił, rozgarnął i już zwolna, starannie, jakby z pewną twórczą miłością, kolistą miskę pod drzewkiem uklepał, niby koronę dzieło wieńczącą.

I wody dwa kubły studziennej, aż zdało się, że zadygotała każda igiełka chłodem bolesnym nieznanym przejęta.

Zaś człowiek w poczuciu spełnienia czynu dobrego, szepnął z uśmiechem:

— A widzisz, jak ci lubuje... — i odszedł opodal, willę okiem ogarnął, schodki, dwa świerki przeniósł w całości wrażenia, na myśli zwierciadło.

— Oddaje.

Właśnie z budynku pan Feliks Ferdynand Kwiatkowski już wyszedł, zaciągając się smakowicie pierwszem porannem cygarkiem. Po trzech schodkach własnej realności zstąpił szczęśliwy i zapatrzyli się obaj na nieszczęsną ofiarę.

Od niechcenia, do siebie, chłop mruknął:

— Dobrze oddaje.

— Tak. W tem miejscu tylko dwa świerki czynią korzystne wrażenie.

— Wiella, niby że biała, a tera oto, dwoiste zielone. Ale to głowy, głowy potrza, na wsio.

Łypnął ku panu podejrzliwemi ślepiami, czy nie przesadził w szczerości uznania i dodał z ferworem:

— Hej, różów by tera podsadzić! — aż czapę baranią na ucho przesunął, że to i swojej głowy nie uważał za byle.

— Różów tera—musowo. Pański kwiat, róża,

Lecz pan już oczy odwrócił, innem zjawiskiem się cieszył, kędy wypłynęła, kołysząc się zlekka, niby korab — małżonka, w białe żagle spowita, a tuż piesek z krzyżem przez liszaj dobrobytu wyżartym, jako że suto i błogo żyło się ludziom i wszelkiemu stworzeniu na owej własności, gdzie marło dzikie, wolne drzeweczko.

Dobra była kobiecina pani Kwiatkowska kliwie ucieszyła się drzewku, a i piesek, dla

pamięci zdarzenie zaznaczył, zaś stróż, choć człowiek surowy, z przyjaznym uśmiechem na ową idyllę spoglądał, zanim ruszył ku swojej robocie.

Otulony mgłą siwych dymów słodko-wonnej machorki, sięgnął łopatą w skraj blado-żółtego zagona, zastanowił się chwilę i, westchnął:

— Hej, słodki Jezu, ila to ila, pod te caszy, rozpleniło się tego ciaciarstwa! Gdzie dawniej jeden dziedzic, przez butów, owe piachy oganiał, tera ich, na półwłóczku siedzi — trzydzieści... Panowie!

I jakby snuł dalej rozpoczętą rozmowę:

— Różów ci się zachciało, gdzie nawet bylica nie rośnie.

I jeszcze po chwili:

— Hej, głupie ludzie!

* * *

Ze śmiertelnego odrętwienia obudziło go słońce. Jakże upragnione, lube, gdy po dniach bezlitosnych wskrzesza umęczone żywoty, w każdej grudce ziemi tysiące święci narodzin, w każdym pąku cud sprawia. I tkliwą pamięcią źdźbło najdrobniejsze ogarnie, sięgnie na dno przepastnego wądołu, gdzie jeszcze jesienią maleńkie ziarenko zapadło...

Nagle w drzewo skute chłodem zimowym ciśnie żarem promieni i zbudzi je z raną śmiertelną.

Lecz świerk,—pospolitak, zna pańską łaskę, grubawą ma skórę. Ani chłód go zrazu nie ściśnie, ani przejmie słoneczko okrutną pieszczotą. Pod wiosnę powoli się budzi, a gdy już nawet i ruszy pędami, łuskę, od słońca, na nich zachowa ostrożny, niby ów ojciec, co oddala od dzieci zbyt nagłe, choćby radosne wzruszenie.

Ale oto czas przyszedł, czas drogi, majowy. Przez pień żywne soki pobiegły, uderzyły w pąki. I wraz soków przybrakło i, jakby popłoch wszczął się pod ziemią, kędy moc życia stargana, w zimne piaski przemocą wciśnięta, wątłemi nićmi, wczepiła się w kilka grud ziemi ojczystej, co z doli minionej, szczęśliwej zostały... Zamało, aby żyć można. Świerk zamarł w niemocy.

Zaś pan Kwiatkowski się dziwił. Z rękami wciśniętemi w kieszenie, mały, brzuchaty, aż na palce się wspinał ku misternym, pragotyckim wiązaniom kunsztownego drzewka. I prychał żółtemi wąsami, że to świerk ani myśli odwdzięczyć za tak wyjątkowe starania.

— Bo, niby, dlaczego? — zastanawiał się nad nim Franusinka gospodarz, człek, co żadnej fantazyi, ani w ludziach, ani w rzeczy do jego użytku służącej nie znosił, na wszelką odrębność się krzywił, a tu nagle dzik taki iglasty i jakieś kaprysy, że to niby przesadzania nie lubi.

— I żeby to jeszcze owoce, żeby, panie, pożytek, a tu, pożal się Boże, szyszki rodzi drewniane.

I z coraz silniejszą niechęcią pan Kwiatkowski od drzewka odchodził, zaś gdy jeszcze dni kilka minęło, a choć dobrze przygrzało już słońce i trwał świerk jednak w dziwnym, niepojętym uporze, a nawet igły poczęły już, — z gałgana, — się sypać, pan Kwiatkowski się wzburzył:

— Hej, Michalak!

Z kłębów dymu leniwie podniosła się czapa barania.

— A i ino?

— Wyrzucić!

Lecz Michalak był wrogiem wszelkich środków gwałtownych, a wogóle patrzał, z zasady krytycznie na panowe gospodarcze rozkazy.

— Zaś ta, wyrzucić... — i czapy odgarnął, pochylił się u drzewka i — wraził palice. Gdzieby mu tu, zaś, jaka krzywda być miała?

— Wyrzucić... wyrzucić, a tu mierzwy trza było — nie kazać. Bo insza drzewina tego nie lubi.

Pan Kwiatkowski aż zdumiał, lecz nie uwierzył, bo i jakże mógł wierzyć, gdy sprzeciwia

się coś logice życia, ideałom ogólnym wszechbytowania.

I już ani słyszał, co chłop tam dalej prawił, że insza drzewina, jak człowiek: tyle w nim szczęścia, ile przy nim, biedy...

*
* *

Maj kwietną łaską spłynął na drzewa. A stało się nagle, po dniu dżdżystym, po ciepłem świtaniu. I jakby cały świat lotny gońców — owadów zawezwał, co poniosły się szybkie, przez ogrody, przez sady, od pąka do pąka, naszeptując o słońcu, o życiu, o radosnej pieszczocie skrzydeł motylich.

Aż zbudziły pragnienie w każdem życiu zaklęte, czekające wezwania, co z pieśnią wiosenną przychodzi, czasem z jednym słonecznym promieniem, jak w jednym uśmiechu:

Białe czarki wiśniowe rozchyliły się pierwsze. Ku sobie się zeszły i zwarły w gromadki, dygocące w chłodnym podmuchu i, jakby trwożne, co to życie przyniesie.

Ale zaledwie zaśmiało się słońce, już z całą ufnością rozemknęły się płatki, wnet w długich szeregach wszystkie drzewka młodzieńcze, zakołysały się zlekka, w rozszeptaniu nieśmiałem, jakby cichem szczęściem przejęte, niby dzieci białych gromada w dzień święty. I wnet, ponad drzewka, na lotnych skrzydłach radosnego ptaka wzbiło się — szczęście, blasków, głosów przybrało i przez drogi, przez pola poniosło wieść śpiewną brzękliwą.

A gdzie tylko z promieniem słonecznym wieść śpiewna dosięgła, zdawało się ludziom, że w nich serca jak te pąki wiośniane wezbrały, myśli poety osypały się kwiatem, rozchyliły usta dziewczyny tłumionym szeptem bojaźnego wzywania, a skryta, tęsknota, za czemś, czego życie nie dało, podniosła się z duszy kobiecej, przysłoniła oczy.

W ciszę nocy majowej wpiły się lubo, miłośnie pierwsze pienia słowicze.

. . . .

Zaszamotały się nagle czemś strwożone wisienki. Jakby chwilę zadumał się maj i wichrem w nie cisnął, aż otrząsł kwiat dziewiczy, kwiat płonny.

W białe szczęście nie wierzył, ale nocą z gorącym oddechem przypadł do pąków jabłoni, przemógł ją czarem pieszczoty, bo rozchyliła się cała, krasą wstydu płonąca.

Poczęły się dni miłosnego zachwytu, czerwone dni barwy i szału.

*
* *

Zaś w smutkach niemocy trwało drzewko iglaste. Zasadzone przez ludzi, aby oczy cieszyło, gasło powoli, w pełni świetlistej radości,

wśród koloru i blasku, osypane martwem rudem igliwiem. A choć tam jeszcze w pąkach kołatało życie, a sił ostatkiem, gdzieś górą, wątłe pędy wybiegły, wnet zeszła na nie chora zieloność, pochyliły się wiotkie, pożółkłe, ku słońcu — znak śmierci widomy.

Chłop z łopatą się zjawił i zadumał chwilę, jak miał we zwyczaju.

— Pódźże, chudzioku, — kiej kazali, na wynos... — i garścią ujął za pieniek, a łopatą od dołu podważył i powlókł przez żółtą ścieżynę świerkowego trupka, a za nim u słabych uczepione włókienek tłukły się grudki ziemi rodzimej, jakby śpiesząc, z ostatnią posługą.

I, gdzieś tam za przeoraną miedzą graniczną, za drutem kolczastym, cisnął nim chłop z usypiska, przy dawnej gliniance.

— Widzisz, masz tera, za hardość... — zaśmiał się rad, ale i tu zastanowił się chwilę: myśl poczciwa zbudziła się w duszy, a może losów pokrewności przeczucie, dość, że jeszcze ku niemu się zwrócił, kilka łopat ziemi podgarnął i jakby mogiłkę pod nim uklepal.

— Ale żeś się ta, byle komu wysługować dziś nie chciał, naści, oto — sprawiedliwy pochówek.

I pół sennie, leniwie chłop ruszył z powrotem, przygiął zlekka druty kolczaste, między niemi przesunął, bo choć droga otwarta, taki

przecie obyczaj, zaś chwilę posłuchał gromkiego wołania, co leciało od willi, het, po dziesiąte włości.

Tedy, przystanął, sięgnął w zanadrze po małe pudełko blaszane, żółtych trocin na gazetkę nasypał, skręcił, zapalił, z wielką rozwagą, jak to zawsze już czynił, gdy myśli naraz zbyt wiele, a zwłaszcza pod lato, do głowy się zbiegło, a tu trza każdą, należycie rozpatrzyć, posmakować rozumem i zaś:

— Jakbyś na te wagi, bracie, położył, a ty, ino miarkuj, w którą stronę pociąga.

* * *

Jakoś o jesieni pociągnęło go w stronę glinianki. Aż oczy przetarł rękawem, nie wierzył: cud Boski, czy złe zwodzi. I jakby w nim cosik, z uciechy przysiadło i zaśmiało się jakby, gdy ujrzał, że owy nieboszczyk, a w pędy tylachne się zawziął, aż kipiało w nim zdrowie.

— Hej!—miły Jezu!—pamiętliwy Panie!

Zaś, od tej chwili żałość w nim tak osobliwa przybrała, że ani sposobu, bo ino w myślach odratowany mizerak i codzień do niego, codzień, jakby z żyjącem gawędy:

— Mojeś—ty biedne, moje chudziątko, a honorowe to jakie, na wolności oto se rośnie... Widzis panie Kwiatkoski, przez twojego dołka, przez twojego wąchania, rośnie oto Boska drzewina.

I aż nawet sobie kotyrę jakąś przydźwigał, żeby to było gdzie przysiąść, w spokojności ucieszyć się drzewku, popalić, a tu i zleci godzina i zaś trzeba do roboty się zbierać, jakby kogoś blizkiego odchodzić.

— Ale! Bo czyż to się trafi taka ambicya w człowieku?

Któżby spamiętał, co tam przemyślał, co wypowiedział, ale przecie, wszystkiemu jakiś koniec pisany, a osobliwie, gdy na żywocie— serwitut.

Ano, przyszedł chłop, jakoś grudniowym wieczorem, jakby zdziebko markotny, jakby zamroczony zdziebko i sięgnął po kozik...

— Pódź że chudzioku.

Ano, kozikiem po cholewie przeciągnął, pozacinał pieniuszek wokoło. Ano i przygiął, aż pękło w nim życie.

*
* *

I ktoś tam kupił drzewko wybrane. Ponawieszał na niem cudaków, świecideł, malowanych pierników...

NIEDZIELA.

Od Kaliksta ulicy, gdzie wielka brama wjazdowa, dziwnie brzydka, a tak przykro-obca swym stylem Warszawie,—wielkiemi gromadami, w podnieceniu, w pośpiechu kłębi się tłum.

Szary i smutny, zawsze czemś przygnębiony, opryskliwy, nieufny tłum polskiej stolicy, jakby przytłoczony do ziemi, wlokący wszędzie ze sobą, bez śmiechu i barwy, troskę bytu i smutek jutra,—zapragnął dziś spojrzeć na loty górne, podniebne, tak obce tej myśli, co poza ramy swojego podwórza nie rada się wznosi, a marzeniem nigdy nie sięga ponad trzy piętra własnej posesyi.

Z dalekich krańców Warszawy, het od Woli, Targówka, Kamionka i podmiejskich błoni, z poza starych okopów, gdzie groby marzeń z przed wieku, — ruszył możny i ubogi na to widowisko niezwykłe, oddawna w Polsce nieznane, gdy jeden człowiek porwie za sobą tysiące.

Wielkie sprawy szły za tem.

Ale cóż to w duszy każdy z nich niesie: czy z hołdem uznania dla zdawna zapomnianej odwagi tłum śpieszy, czy wiedzie go podziw dla twórczej myśli człowieczej, co wzniesie zuchwałego w te kresy, dokąd tylko biegły ludzkie marzenia?

Bo każdy tłum ludzki ma duszę, jednym celem miłości, czy pragnień olśnioną, a cóż to dziś w duszy tłumu polskiego, od Kamionka, od Woli, od dawnych okopów?

Koziołki p. Pégoud.

I nic więcej, nic nad to nie zajmuje myśli, bo czy to prosty człowiek, czy odziany z pańska, czy stary emeryt, czy dziewczyna jak maj, na wszystkich ustach nadzieja:

— Koziołki... koziołki!

— A jeżeli wiatr będzie, czy także?...

— A jakże, a jakże... To jemu żadnej nie robi różnicy. Pisali w gazetach.

— Ależ to człowiek poprostu — genjalny.

— Genjalny? Mało, panie, genjalny...

Ani wiedział p. Pégoud, czem najwięcej Warszawę uraczy, czem, tak swojskiem, rodzimem duszę polską ucieszy...

Jakby tu mieszkał, jakby czuł z nami, do jakiejś partyi należał, działał politycznie.

Koziołki — koziołki!

. . . .

Na szeroko ogrodzonej przestrzeni, tam

właśnie, gdzie w porze wyścigów konie walczą z sobą o lepsze, a ludzie o gorsze, dziś jakby nieco szlachetniejszy nastrój objął myśli zgromadzonych tysięcy.

Może dlatago, że oczy ku niebu podnieśli, co wogóle rzadko, a na tem polu nie zdarza się nigdy, — i śledzą co się dzieje w nadziemskiej przestrzeni, gdzie coraz to się wzniesie, kołuje, z przed oczów ucieka aeroplan wojskowy. Nikt się jednak zbytnio zjawiskiem nie wzrusza, bo i cóż tam nowego, skoro leci jak byle wrona potrafi i ani mu w myśli — koziołki

— Bałby się pewno.

— A drugie, komuby się tam chciało kark skręcić — za darmo.

Bo już oczywiście, jak bywa, wobec nowego zjawiska Pégoud'owych popisów, zwykły wzlot aeroplanem schodzi bez mała do roli i powagi wlekącej się truchcikiem jednokonnej dorożki, i zajęcia już nie budzi wogóle, chyba jeszcze wśród tych, co ciemną masą a gęsto, niby gromada pszczół na wyroju, obsiedli węgły Koszykowej ulicy.

Tam lube dzieci Warszawy, ze wzniesionemi głowami, w niemym podziwie otworzyły usta, lecz i tutaj po chwili już mija wrażenie, i w myślach chłopaczków jakby obawa przestrzeni się budzi...

— Wysoko... Nic takiemu, psia jego, nie zrobisz.

I po chwili, z westchnieniem:

— Ani go kaźmirzem nie sięgnie, ani mu sztachnąć w oponę, ani go w miętkie...

— Nie, nie... Nie zradzi mu, nie,—cheba że tylko...

— Cheba że co, Antoś? — z rozrzewnieniem prawie dopytuje się młodszy towarzysz.

— Trza go sięgać na ziemi... Majchrem po skrzydełkach. Tak sobie podejść nieznacznie i — ciup, ciup...

I dalej myśl twórcza, niszcząca pracuje, a to niezawodne, że coś tam już sprawi luba dziatwa Warszawy ku udręczeniu, gdyby powietrzne podróże szerzej zastosowane zostały.

Ale jakoś przydługo każe czekać p. Pégoud. Już niepokoi się masa mrowia ludzkiego, a gdy człowiek w gromadzie, gdy nie płaci zwłaszcza, do niecierpliwości skory, i budzą się w nim z całą prostotą wdzięku przyrodzone instynkty. Tu i owdzie już ktoś sąsiada „dla widoku" odgarnął, już poufna wiadomość, kto kogo rodzi, w mocnych wyrazach obiegła szersze koła publiczne. A tam znowu, w stanowczem zakończeniu dysputy. ktoś w związki rodzinne swego rozmówcy jakąś obcą, miłośnie twórczą działalność wprowadził, gdy nagle z krzepko męskiego gwaru głos wątły, dziewiczy się wydarł:

— Za co mię pan bierze, mój panie?

— Ja panią? Żebym tak Boga przy skonaniu, anim ręców z kieszeni nie wyjął... Patrz pan, panie Kwiatkowski, jaką zgrywa pretensyę?

— Ale pan się nieprzyzwoicie do mnie odzywa.

— Do bajcu takie gadanie, kiedy tera wszędzie je równość.

Aż wtrąca się jejmość bujnie falista, czerwona, obrzękła, i, głosem pełnym słodyczy, w imię zasady:

— Takie przecie dobre jego dwa złote, jak panine.

— Ależ, tu wcale o dwa złote nie chodzi.

— A niby o cóż? Że się tam chłop, z ciekawości, ździebko naparł na pani osobę, to zara ma być z tego krzyk?

— Hrabina czy co?

— Owa! Lepsze widzielim!

A tu przecie panienka, nie dalej jak wczoraj, zapragnęła na jakiemś zebraniu lud pracujący do piersi utulić, wzywała myśli, w przesądach zakrzepłe, i serca w samolubstwie zmartwiałe, do lotu.

I w jednej chwili, po zetknięciu się ze światem realnym, jakby w duszy — koziołek, a na ustach wyraz najszczerszej odrazy:

— Hołota!

Lecz nagle, jakby wodą chlusnął w zarze-

wie; gaśnie mocna ochota i ustają rozmowy, bo oto ktoś z osób postawionych wysoko na sąsiednim dachu, obwieszcza, że p. Pégoud do lotów się zbiera.

— Już smaruje, psia jego, maszynę.

— Żeby jego tak smarowało!

Bo tylko od trybun widać wyraźnie—krzątającą się postać pilota. Tam też miejsce wybranych — pstrobarwna *élite* różnego gatunku kwiatów Warszawy, rozkwitłych na szarym polskim ugorze. I gwar różnojęzyczny, i świergot panieński, i nieme twarze tych ze świecznika.

I w stronę pilota, tak jeszcze niedawno prostego żołnierza, biegną oczy, *lorgnon'y*.

— *Un beau gars, tu sais?*

— *Bien vrai qu'il est gentil, le petit.*

— Jakaś dama z nim jedzie podobno?

— Czy ktoś z towarzystwa?

— Ach, nie wiem, moja droga. Ale z kim? — *Je vous demande. Un Pégoud...* — *tout court* — jakiś ślusarz podobno... *Elle risque de perdre sa réputation.*

— *Un métier, comme les autres...*

A tuż, do wysokiego płotu, i blizko, ku sobie, przywarło ich dwoje:

— Słyszy panna Julcia, jak po francusku...

— A pan Fernand zaraby już i leciał za małpą.

Wreszcie, po długiej godzinie, przez błonia, przez Koszykową, Kaliksta, z dachów na Wielkiej, Mokotowskiej, Pięknej:

— Jedzie, jedzie... Już jedzie!...

A z piersi, z tych szerszych:

— Ja—adzie! — jak grom.

Niby zła, drapieżna moc, silną ujarzmiona ręką,. zaszamotał się, zadygotał Pégoudowy ptak, już do lotu się wspiął i na martwych skrzydłach, z głuchym warkotem, sunął w świetliste, lazurowe wyże.

Nagle pochylił się bokiem, krąg mały zatoczył, jakby się zwinął, i znów całą szerokością odwrócił, błysnął białym napisem: „*Pégoud*“. I jeszcze zwrot prawie nieznaczny, i napis się skrył, a spód ku obłokom.

I znowu przerzucił się w locie, biały napis zabłysnął.

— Patrzaj, patrzaj, znów Pégoud na wierzchu.

— Boże, mój Boże! A ona? Cóż ona przeżywa?

— Patrzaj, patrzaj, znowu pod spodem.

— Jabym umarła...

— Ma zdrowie!... Ale gdzież te koziołki?

— Żeby to tylko nie było znowu jakiego oszustwa.

Zacichł ptak nagle, — dech zamarł, ptak spada. Zawarczał, śmigiem obrócił, i raz jeszcze i raz, aż zamilkł; w grozie tłum ludzki, jakby

śmierć spostrzegł, co na cichych skrzydłach gdzieś górą przemknęła.

A ptak wyżej i wyżej, tam gdzie śmierć ludzka, pospolita nie sięga, przerażona zuchwalstwem człowieka, który jakby z niej drwi, ufny mocy zaklętej w stal martwej maszyny.

Wyżej i wyżej, a radośnie, szczęśliwie, niby orzeł w promieniach słonecznych, pławiący się lubo, a tem większa w nim błogość, że zna sprawy ziemi i od nich taki daleki.

I ani mu w myśli, że w sercu stalowem coś pęknie, lub złe moce przeznaczeń skrzydła zgruchoczą, a gdy na żywnej, zielonej murawie śmierć blada nachyli się nad nim, już nie pozna człowieka.

Aż w końcu, gdy oczy się znużą, w myślach, jakby niechęć się budzi. Jakby straciło coś serce, że oto ktoś wdarł się w bezkresy, w marzeń ludzkich tajemnice, jakby sięgnął po świętość, której nikt dotychczas nie dotknął, i już oto, niezadługo, człowiek-spekulant kursy ustanowi powietrzne, dokąd tylko roztęskniona myśl biegła, i wtedy nawet pod słońce sięgnie rubel wytarty, i zadzwoni reszta.

I jakby na chwilę, budzi się żal do lazurowych, przeczystych bezkresów, że zezwoliły, że nie ostały się ludzkim rozumom, a pod stropy wiekuiste wdarł się łoskot nowej maszyny.

Lecz porywa zjawisko. Raz po raz szereg

zwrotów szalonych, jak bicie serca szybkich przerzutów, wśród zamierającego głosu motoru. Jakby w walce śmiertelnej, skąd jakby śmiech drwiący człowieka, i wreszcie, niby piękna chwila zupełnego oddania, po żywiołowej przemocy, gdy miękko, nad ziemią, zmożony ptak sunie, jakby się słania, jakby tkliwie użala.

I sypią się kwiaty.

A z ludzkiego mrowiska głos wzruszeniem stłumiony:

— Ja pana bardzo przepraszam, ale czy to już był ten—kożołek?

. . . .

Niestrudzony p. Pégoud. Zaledwie chwilę po wycieczce z damą odetchnął, już do wzlotu, z pasażerem się zbiera. Stąd wielka radość na węgłach Koszykowej ulicy.

— Pasazier—pasazier, psia jego?

Więc tedy, poprawiwszy „kaszkieta“ i wąsów, do sąsiadki, — z umizgiem:

— A nie bojałaby się panna pusknąć z pasażerem, na wiater?

— Ja tam nigdy nic na wiater nie lubię...

— Więc niby — na zapowiedzi już przedtem?

— Na zapowiedzi się kicha.

— No to... jedną z kroplamy.

— Przez pańskiej łaski, przez pańskiej osoby... — i zawróciła, jak śmigłem.

A u bramy wylotu, człowiek zgorzkniały:

— Odważny, odważny... Niechby on, panie, taki pasażer, kiedy mu nuda, w naszą orłowską gubernię, na Wolę, o szarówce, piechotą. Niechby tam poszedł.

— Tak, kole soboty... ha, ha, ha!

— Jadzie! ludzie kochane,—już jadzie... Bój... rany!

Ktoś gwizdnął na palcach, aż w mózgu oddźwiękło, gwizd pobiegł przez dachy, wnet echa obudził.

I czapki w górę!

Owacja.

A gdy zmrok zeszedł, jakby upewnił, że widowisko na dzisiaj skończone, i zwolna, leniwie rozeszli się ludzie, z niezmiennie mocnym wyrazem na ustach, pozostał tylko stary człowieczyna pod murem. Strzęp ludzkiej postaci, z wyszarzanem brodziskiem, trząsł głową osłabłą: tak, tak, tak — jakby już wszystko przebolał i ze wszystkiem się zgodził. Nagle, słabość go zmogła, osunął się zwolna po ścianie, próbował się dźwignąć i czepiał bezsilnemi rękoma, — nie zdołał.

— Trza Pogotowie... — gdy spojrzał ku niemu stróż domu, ale że wiele też w życiu już widział i wiele rozumiał, nad starym się przygiął:

— A możeś-ta głodni? He? gadać.

Zachrzęszczało coś w piersiach, jak w starym zegarze:

— Trzy... trzy dni — nic, panie...

— No, to chodźta do izby.

I, ku ciemnym chmurom, gdzie już gwiazdy zabłysły, oczy obrócił.

— I cóż komu z tego po niebie latania, kiej ludzie na ziemi mrą z głodu? Cóż, ta, komu z rozumu, kiedy serca braknie na świecie...

— Pódź, stary! Ino mi nie zrób koziołka...

POBOJOWISKO.

Gdy zrazu dalekie, jakby kroki złowrogie, już bliżej a gniewniej podeszły i nagle w gromów tysiące rozległy się po lasach, a szerokiem koliskiem, jednym grzmotem kawał Polski objęły — wicher trwogi wstał nagle nad ziemią i zrazu w chłopskie chaty się cisnął.

I chłopem zatargał, aż ruszył z tłumu ludzkiego, gnany przez trwogę, — pierwszy chłop polski. Krew z krwi, kość z kości ten sam, co przed wiekiem na armaty szedł z kosą i pono armaty zdobywał.

Węzeł pościeli, skrzynka zielona, krówsko żałosne, strach za nim, strach przed nim, a gdzie tylko minie sąsiedzkie opłotki, wnet zakotłuje się w małem obejściu i, jakby nachyliła się, chata wysypuje z siebie lud, dobro, i już cicha pustka za niemi, jakby chata umarła. I tylko Kruk, stary, niepotrzebny pies, głowę obróci, wystrzępione uszka nadstawi, bo gdzież to dobrzy, kochani ludzie odchodzą w samo południe i w roboczy dzień?

Ani dzwonów nie słychać, ani drogą wesele...
Coś dzieje się źle... Niepokój w serce uderzył; targnął łancuchem, a tuż, jakby z batów gęsto palić poczęli, i coś dziwnie rozśpiewało się w powietrzu, pszczoły—nie pszczoły, i wraz w stare deski zatłukło, zaś od lasu, po ostrej grudzie, jakby wóz dudni, jęk przed nim ucieka, aż znowu podniósł się grzmot, spadł ciemną falą na wieś.

Kruk zjeżył się, zadrżał, nagle wystraszonemi oczyma zabiegał i, skomląc, ziemię pazurami jął rwać.

Wśród ciemnej fali, szerokiem, migotliwem łożyskiem biegli ludzie zziajani, dyszący; obcy jakiś zgiełk, straszny jakiś głos...

* * *

Ale zanim czarne ptactwo śmierci, ważące się górą, niepewne i trwożne spadło na pole jej okrutnych pokosów, zanim przyległy mary dymowe, czarne, ślepe widma, włóczące za sobą, od szaro-krwawych rumowisk i żałobnych zgliszcz, ciężkie pasma kirów, przez zryte ciężarem i zdarte kulami pole ozime, a jeszcze nie przycichły złowrogie dygoty oddalającej się walki, — już zjawił się we wsi, rozwłóczonej, starganej, ukochany syn ziemi — kmieć polski. Pierwszy powrócił.

Troska o chatę, umiłowanie zagona niezawodnie go tutaj przywiodło — któżby troski kochania nie pojął?—ale chłop przecie nie malowany, lecz żywy i zawsze nie taki, jakim go myśl ludzka stworzyła; tyle tylko, że spojrzał ku swojej zagrodzie, i ze szlaku drogi, zamkniętej głowiastemi wierzbami, zeszedł w pole, na przełaj. Tam, za drogą, za strugą stary kościół trwał pono trzy wieki, aż przyszła noc bitwy, nad zwaloną wieżycą tylko ptak krąży, płacze głosem żałosnym.

A człowiek pobladły, jeszcze dygocący ze strachu, oczy od zburzonej świątyni odwrócił, nie rozumiał modlitwy i żalu, gdzie nie palą się światła i nie grają organy.

I jakby złość w duszy, że oto Bóg silny i władny, i jakże zezwolił?... W myślach, gdzie tylko przemoc, strach, pomsta coś znaczą i ważą, budzi się nagle wątpliwość. Bo i jakże? Zburzyli dom boski, a Pan Bóg?...

Od pogorzeliska i gruzów kościoła pod sine kraje rozległo się szeroko pole bitewne. Rozwartemi grozą oczyma chłop patrzał, słowami litanii poruszyły się usta z nałogu, w zaciętości ścichły. I już pewna swej władzy powróciła myśl wolna, i człowiek się otrząsnął, już rozglądał daleko, przez zasnute dymami przestrzenie, i jakby czegoś tu szukał na zwiewnych poletkach, gdzie oracz ciężki trud złożył, a siewca szczęśliwych dni żniwnych nadzieje, a kędy,

nad krętą wyrwą okopów, jakby snopy w mendle złożone — zwały ludzi półnagich.

A dalej pustka ogorzała, czarna, i znów szereg pleciony, jakby śmierć ułożyła pod linię. A tuż miazga brunatna, wbita w złom roztrzaśnięty polnego kamienia, szczątek głowy człowieczej — krwawa skorupa, biały wiór kolby strzaskanej i złote sznury, i wydarte blado-sine jelita, a na nich czarne, krwią oplużone ręce, w ostatnim wysiłku zastygłe.

Po kawałek rzemienia chłop się nachylił. Pchnął nogą zmięty kociołek i przeląkł się dźwięku. Na sztywne, wysoko sprężone lędźwie się natknął, i zaklął.

Dalej się wlókł, frasobliwy. Jakby w myślach niósł troskę, czy ból. Zeszedł w parów, czepiając się gałęzi, i precz jakby szukał, aż nagle nad zapartem w gęstwę olszyny ciałem się schylił, do nóg mu przypadł.

Ojciec, czy brat? Może syn ukochany?

Nie, — tylko trup, który miał jeszcze buty.

. . . .

Od bladych, zimowych horyzontów wysuwają się cienie. Idą ludzie, pochyleni zgryzotą, że przyszli zapóźno. Nurzają ręce w skłębione zwały ciał martwych, rwą krwawe strzępy, szarpią w zaciekłej chciwości lśniące guziki ze szmat czarnych, spalonych, a tam gdzieś

mundur się widzi, jeszcze niezgorszy — na spodzie. Może jeszcze co przy nim?...

— Kumie, ulżyjta-no ździebko.

Za nic robota, bo leży człowiek z nogą urwaną, i jakby cały był w ogniu. Czerwone austryackie rejtuzy, czarne sople z nich wiszą, w gruzłach rudego błota zamarzły.

— Hej, — szkoda portków!

Długa chwila bezradnej zadumy i znowu westchnienie:

— Kapota także na nic.

— Ale!... Dźwignijta-no, kumie... plecy, musi, ma zdrowe.

— Dźwigać, to dźwigać, ale jakże z niego co zewlec, kiej twardy na szczęt.

— A no, pies z nim!...—A w myśli skarbnicę jeszcze jeden klejnot życiowych doświadczeń zapada:

— Trza na ciepło z nich brać...

Ciągną ludzie od drogi. Już ich więcej pod wieczór niż tych, którzy leżą, i jakoś — jakby jaśniej od ciał nagich, na żółto-burym ugorze.

Górą czarne ptactwo się waży, niespokojne, trwożne, niecierpliwie czeka, rychło li człowiek odejdzie.

A gdy zmrok przedwieczorny nagość ludzką przysłoni, zgasi oczy drapieżne i w ciemność zasunie pole bohaterskich zapasów, schodzi chłop z pola. Niesie krwawe buciska, wę-

zeł szmat ubroczonych. Ten, co z pieśnią na ustach na armaty szedł z kosą i pono armaty zdobywał.

* * *

Gdy zaś podejść do niego, kiedy przez pola wlecze się ponury, zawsze skrzywdzony:

— Hej, hospodarzu, ciał nie grzebiecie?— spojrzy złemi oczyma.

— Jo ich ta nie bił, jo i grzebał nie bede.

— Ale obowiązek chrześcijański...

— Jo ta nie ksiądz.

* * *

Strach już myśli odleciał, tedy chłop spojrzy przytomnie po drodze, z ciekawości do opuszczonych domów zaglądnie, czy bardzo tam, juchy, napsuły?...

A gdy drzwi znajdzie zaparte, tedy Pietrzak z Kostrzewą dźwigną podkład dębowy—pełno tego przy drodze, w krzepkich garściach podniosą, rozhuśtają go ździebko.

— Od sie, od sie! — somsiedzie.

Zaczem, aż zaśmieje się dusza, gdy kum Pietrzak garście czarne, sękate w miękką pościel zanurzy, sprawnie w węzeł ją zwinie, zaś Kostrzewa starownie miedź zbierze, tu i owdzie zerwie zamek siekierą...

— Zawdy lepiej, gdy swój człowiek się dobrem pożywi, nie obcy.

A zaś, gdy swoi ludzie odejdą, zjawiają się goście.

Z niezmiennym, żałośnie drapieżnym uśmiechem na ustach.

Z duszą zawsze na ścieżaj otwartą i z tkliwym wyrzutem:

— Ty nam, bracie, nie żałuj; my na ciebie krwi...

I już tylko ze szczerej ochoty, żwawo rąbną siekierą po stołach, po szafach, a tam obok już jękiem żałosnym struny rozdźwiękły, śpiewne nici żywota, niby rzewny płacz ludzki, rozpaczliwe wzywania, gdy ból nagły brutalną przemocą uderzy. Nie zabija, targa.

I wraz hukną wolne dzieci, Dońcy-sokoły:

— Płacze, — chytra maszyna! Bij po niej!

I — bij! — w liczne głosy urośnie, — bij!— jednym głosem odhuknie i, jakby huragan, runie na cichy dworek podmiejski, zerwie z trzaskiem, łoskotem lustra, stare obrazy, dawne pamiątki, książki rozniesie, skłębi w rumowisko białych skorup, obłoconych strzępów i wiórów złoconych — dawne, drogie czasy i czary, dawne, nigdy niezgasłe marzenia, ofiary i — serc okłamanych gorycze.

Rzewnym płaczem jęczą struny targane, wyje śmiech ludzki, i jakby się słania pół-pijane, żałośnie drapieżne:

— Ty nam, bracie, nie żałuj...

* * *

Roku 1910 się działo — w Ojczyźnie.

MATCZYNA DOLA.

Wielki pokój dziecinny—ruch, zgiełk, raz po raz głos podniesiony, żałosny:

— No! Oddaj sklep mój, ty!...

— I-idź, bo ci powiem ten wyraz, co wiesz...

— Mamusiu! On powiedział: — prukwa.

— A ona się pluje, mamusiu.

— AB plus BC, plus CD—nie przeszkadzać, bębny! — plus DG, równa się 2BC plus CD.

— No! oddaj sklep mój, ty!...

— Kazio niech odda stołek Zosi, i proszę być cicho, kiedy inni się uczą... — odzywa się głos matki.

Nad stołem pochylone dwie płowe czupryny, zajadły pomruk niemi kołysze. Uczą się chłopcy. Uszy zasłonili rękami, jakby w obawie, że zdobyta wiedza przez dwa zdradliwe otwory ulotnić się może.

— AB plus BC plus CD... — ciągle to samo, a obok:

— *Ante*, *apud*, *ad*, *adversus*.

— *Circum, circa, citra, cis...* dźwięczy jednostajnie, bezmyślnie, chwilami jakby rozpaczliwie, w beznadziejnej trosce o zdobycie i utrzymanie w karnym porządku niesfornej rzeszy przyimków łacińskich. Zawodna to praca, bo niech zły los choć jeden z nich tylko wytrąci z pamięci, rwie się cały gramatyczny poemat i trud idzie na marne. Jak później w życiu myśli dorobek, często w ciężkim znoju zdobyty, lecz nigdy tak serdecznie nie opłakany, jak wtedy:

— Całą noc się uczyłem i... masz: pałę postawił.

— Pałkarz, pałkarz — wyśmiewają siostry, i oto wlecze się długi kwartał niepokoju, bo trwa nieszczęsna jedynka w blizkich pamięci, a wyłania się jako wyrzut, czy groźba, lub nawet złośliwe czasu określenie:

— Było to wtedy, kiedy Staś przyniósł pałkę z łaciny.

A potem życie przychodzi, a z życiem błędy, zasługi, troska czy radość, — myśl jednak do tych wspomnień zawsze powraca, i zawsze szczęśliwa, gdy to, co z dziecińśtwem, z młodością uciekło, w pamięci odżyje.

— *Ante, apud, ad, adversus...*

— AB plus CD plus DG... — i nagle:

— *Minho, Duero, Tago, Gwadyana, Gwadalkwiwir* i *Ebro...* — niby sygnaturka, dźwięczny

głosik dzwoni, i pochyla się nad książką jasna główka z niebieską-kokardą, i kuje:

— *Minho, Duero, Tago, Gwadyana...*

— Mogłabyś trochę ciszej ze swoją geografią...

— Ach, swoją geografią! A cóż to geografia gorszego od twoich tam...

— Niepotrzebna nauka, zwłaszcza dla kobiet...

— Ach, niepotrzebna? A właśnie, że... bo jak wyjdę za mąż, to pojadę do Hiszpanii i będę wiedziała, gdzie co, a ty ze swojem ABC będziesz patyki za geometrą nosił—najwyżej... Mamo, niech mama powie, bo już się prześladowanie zaczyna... *Minho, Duero... Minho, Duero...*

Staś od łacińskich przyimków oczy przeniósł na siostrę:

— Koza, czyli gęś...

— Ach, scyzoryk, czyli osioł... Mamo!

I znowu po chwili:

— A jak się to dokuczanie nie skończy, to... powiem.

— Co powiesz?

Choć pytanie drwiące, to jednak słychać w niem, że jakiś niepokój młode dusze trwoży. Nawet najmniejszy, Kazio, przerwał zabawę i wielkie, niebieskie oczy zwrócił na siostrę.

— No powiedz... co powiesz?

— Już wy wiecie, co... Dobrze wy wiecie: co się na... *papie*... zaczyna, a na ...*rosy* kończy.

Chwila ciszy, krzyżują się złe, prawie nienawistne spojrzenia, a Kazio, zaczepno-odporny sojusznik, uważa za właściwe targnąć małą Zosię za złociste loki.

— Mamusiu, Kazik za włosy się ciągnie. O!...

— Kazio niech idzie do kąta... — odzywa się zmęczony głos matki.

— Czy zaraz, proszę mamy, czy jak drugi raz?...

— Zaraz.

Chłopiec z nieszczerą obojętnością zwraca się na ustanowione miejsce, przy szafie, gdzie obdarte paski obicia świadczą o jedynej w tem miejscu rozrywce, i śle stamtąd w stronę dziewczynki pantominę, wyrażającą przyszłe męki po skończeniu pokuty. Nie straszny jednak Torquemada w kącie stojący, bez obawy krząta się Zosia, okrutniejszą mękę dla duszy zamyśla: ustawiła stołeczek tuż obok skazańca, rozłożyła na nim rozmaite kuszące przedmioty i żwawo rozpoczęła ożywioną komedyę zabawy.

Beznose, oskalpowane lalki, kaleki z bezwładnemi kończynami, z rozprutem łonem, lub ukrywające pod barwnym strojem krakowskim brak trocin, puste kokietki—z za pieców, z pod szaf wydobywa dziewczynka. Odnajduje coraz to nowe Kaziowej inkwizycyi ofiary, i biega

drobnemi kroczkami, a choć wspomnieniami wzruszona, bolesnych uczuć nie szczędzi, wskrzesza zapomniane żale, i coraz nową niosąc pokusę, prawu siły urąga. A z ciemnego kąta błyszczą roziskrzone oczy, dusza rwie się do zabawy, do walki z blademi twarzami, do skalpów zwycięskich... a tu w kącie stać trzeba.. Strach tylko, czy nie zapomniała matka.

— Mamusiu, czy mogę wyjść?

— Nie jeszcze. Widzisz, jak grzecznie się bawi Zosia bez ciebie.

Zgrzyt w kącie za szafą, oczy łzami zachodzą, i gorąco, i ciemno, i nudno, a Zosia wciąż biega, coś znosi, i do siebie gwarzy. Kot przyszedł, do zabawy należy.

— Mamusiu, czy już?

Cisza. Nic to dobrego nie wróży, często koniec pokuty oddala.

— A niech tam... — myśli skazaniec, i uśmiecha się drwiąco, choć serce mocno uderza, i coraz duszniej za szafą. — A niech tam, już mi to wszystko jedno. — Wzrok odwrócił od siostry, głowę na chłodną ścianę pochylił i liczy:

— Raz, dwa, trzy, cztery... — liczy łzy własne, bo zawsze to prędzej czas jakoś przechodzi.

A w anielskiej główce dziewczynki piekielna myśl błyska:

— Proszę mamusi, czy mogę wziąć „Ducha puszczy“ do oglądania?

— Weź, dziecko.

Lecz co to? Jęk szczery z poza szafy się wydarł, a potem płacz rzewny zadrgał w pokoju, i zginął w Minho, Duero, Tago, Gwadyana...

— Niech Kazio wyjdzie już z kąta, a Zosia niech odda mu książkę.

Ucho matki zna małych cierpień nuty bolesne, w jej sercu znajduje odźwięk każde dziecka uczucie, niekiedy bardzo złożone, a tylko przez to serce pojęte, obce dla mózgu mędrców, co ludzkie dusze badają.

I płyną dla tej matki dni takie, uciekają szare, jednostajne wieczory, schodzą do wspomnień, a na życie się kładą i chylą je do czasu znużenia, kiedy myśl już za minionem nie tęskni, przyszłej pociechy nie pragnie, o radości za lata trudu ofiarnego nie marzy, tylko spokoju pożąda, choćby ten spokój przyszedł w chwili, gdy kochające serce po raz ostatni uderzy, a w myślach ostatnia troska się zjawi — troska o dzieci.

Ile to przeszło takich wieczorów, a ile ich przed nią — strach myśleć i błogo, bo choć życie niejedną jeszcze troskę z szarego dni pasma wysnuje, białą przędzę cierpień i zawodów złoży na skroniach, to może jednak,

u schyłku, jasnym promieniem zaświeci, stare serce ucieszy...

— Niech mama z geometryi wysłucha.

— Daj książkę.

I rozkłada się brulion, a obok krótko ostrzyżona czupryna pochyla.

— *Suma kwadratow katietow rawniajetsia kwadratu gipotienuzy* — brzmią twarde słowa nienawistnego języka, i słucha matczysko uważnie, geometryi uczy się na starość, i drży serce, poczciwe w obawie o jutro, a potem żal ściska, gdy chłopiec zły stopień dostanie.

— A bo, mama jest winna... Bo mama—to zawsze...

Po geometryi—nieforemne słowa łacińskie pieśń o wieszczym Olegu, zadanie o kupcu, co pomieszał dwanaście gatunków herbaty, historya Rosyi, w której prostuje się niejedno na skrytych uczuć użytek, bo ciężko sączyć do młodej duszy nieprawdę, a potem znowu Minho, Duero, lub państewka niemieckie, setki razy przez wieczór powtarzane.

— A teraz deklamacya, *maman*... — więc dyg, i staje Hela w trzeciej pozycyi, warkoczyk na piersiach, u kokardy rączka, — a od stołu chłopaków drwiący pomruk idzie:

— Jak się to kryguje, fałszywa, fałszywica!

A Hela, jak gdyby na przekór, dźwięcznie, z przejęciem, prawie ze łzą w oku, głosi opo-

wieść o kruku, o serze. Ukłon, i kończy się *„le corbeau et le fromage“*, lecz w jednej chwili zjawia się: „biedne, bose, w brudnej koszulinie“ — i znowu złośliwie trącają się chłopaki:

— Dziesiąty raz już to słyszę.

— Biedne, bo-se, w bru-udnej koszulinie, stanęło u pro-oga...

— Mamusiu, Kazik kopnął mnie w oko....

— Ja nie naumyślnie, mamusiu.

— Biee-edne, boo-ose, w bru-udnej koszulinie...

— Plus BC plus CD plus DG...

Ucieka wieczór, chyli się zmęczona głowa, lecz w myślach niema skargi na los, na pracę ofiarną, bo cicha radość tam mieszka, radość tych niewielu wybranych, co siebie najmniej kochają: dla blizkich, drogich, niosą nieprzespanych nocy mękę, w trosce o dzień, co tak rzadko jasnym promieniem się zjawia, a mroczny, ponury, we własnem poświęceniu szukać każe pociechy.

I dziwno myśli zmęczonej, że są matki, którym tej pracy i ofiar za mało, po trudy męskie sięgają, w domu im ciasno, do szerokiej przestrzeni, do czynów rwą się — i piszą, i mówią, i po co? Są inne, co marzą: szczęścia w życiu czekają, jak gdyby ono istniało nieprzebrane i słodkie, bez przykrej goryczy, co po niem przychodzi. Toć dziecko jest szczęście, nad

kołyską marzyć tak błogo: on będzie wielki, przez ludzi kochany, świat sobą zadziwi, chwałę przyniesie ojczyźnie...

— Z Zakonu Bożego niech mnie mama wysłucha.

— Daj książkę. Co macie zadane?

— O, właśnie tu, gdzie o cnotach... Cnoty są trzy teologiczne, czyli Boskie: wiara, nadzieja i miłość.

— No, a co to jest wiara?

— O tem jeszcze nie było.

— Ale ty powiedz, co to jest wiara? — i dobra pogodna twarz, pochyla się ku chłopcu. — Co to jest wiara?

— No... wiara — no, żeby wierzyć. Ale to może jutro, bo mam jeszcze bitwę przy Kałce powtórzyć i...

— No, tak... Darów Ducha Świętego ile?

— Dziewięć... nie — pięć. Nie... mama to mi zawsze pomyli, i potem się muszę uczyć na nowo.

— A u nas — odzywa się z dumą Kazio — u nas w klasie B pan nastawnik to wszystko z Zakonu wykreślił, bo wiara, nadzieja i miłość — takich wyrazów nie wolno... Aha!... I ja się tego wcale nie uczę. — Na krótkich nożynach się rozparł, ręce w kieszenie ciemnych, urzędowych majtek wcisnął. — I po drugie, u nas w klasie B Zakon Boży wcale nie jest

ważny, tylko diktowka... a mama to zawsze coś takiego wymyśli...

Wymówek, żalów nie braknie żadnego wieczora, bo tu nie zjawia się wyraz serdeczny, przy tym warsztacie pracy, ciemną ceratą obitym, u którego tak często ślęczą szczere talenty, ogłupiają w zaraniu wielkie umysły, trwonią zdolności i brudzą jasne, dobre uczucia, w tej walce codziennej, co nie tylko łaskę Bożą, lecz często młode, silne życie zmarnuje — zabierze, gdy rozpacz wcześniej od mózgu dojrzeje, a nie spłynie ze łzami...

Nawet matki swojej kochanie później dopiero przychodzi, zjawia się wtedy, gdy życie nauczy, że ono jest jedno...

Wśród sprzeczek, sporów i ciągłej urazy wzajemnej żyje to jedno ciche, błogie i równe uczucie, odradza się w trosce, z najdrobniejszej radości moc czerpie i wiarę, a co wieczora jasny wzrok błądzi po schylonych nad książkami głowach, niby promień dobrego słońca nad tem, co w myśli i w sercach zakwita — i przędza marzeń się snuje:

— Ten będzie sławny, tamten dzielny i zacny, a ona — tylko dobra niech będzie...

A potem marzy głowa o dniach odpoczynku, o siłach, którychby lata poświęcenia nie zmogły.

— O, mamusiu, ten Kazik... znowu za włosy się ciągnie...

— — — — — — — — — —

I przyszedł dzień spokoju nareszcie, przyszedł z mrokiem zimowego wieczora, i niby grom w serce uderzył.

— Jutro nie pójdziemy do szkoły... — najstarszy Staś matce oświadczył.

— Dlaczego?... — i głosem jej targnął niepokój.

— Ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień.

Oparł głowę na rękach, w oczy matce patrzył zuchwale, lecz gdy dziwna jasność w nich błysła, potem po twarzy przebiegła, zerwał się i do nóg jej przypadł.

— Niech mnie mama nie zmusza. Nie pójdę, nie mogę... — i przed matką wypłakał, co w duszy mu wrzało:

— Nie chcemy Moskali! Nie będziemy po moskiewsku się uczyć!

— — — — — — — — — —

Minęło dni kilka, — i cisza w pokoju, jakby powszednie udręczenia i niesnaski z niego uciekły. Stół lśniący pod lampą, ani książek na nim, ani zeszytów; obok chłopcy głowy zwiesili na rękach. Do młodszego zbliżyła się matka.

— Cóż, wiesz teraz, co jest wiara, nadzieja...

— Wiem, mamo... — oczy mu błysły.

Za matką zbliżyła się siostra, ręce mu na-

ramionach złożyła; szarpnął się chłopak, lecz potem ją nagle ku sobie przygarnął.

— Już teraz nie gniewaj się, Helka.

— Ale i ty, te... teraz już... nie...

Pochyliła się główka, tuląc brata do piersi i zadrgał nagle jasny warkoczyk...

Kazio z Zosią „Ducha puszczy“ oglądali pod oknem.

NA WIOSNĘ.

Zimna, sina pustka, krąg pól poszarzałych, a na dalekim skraju chmura zmierzchłego błękitu, szybko chłonąca mrok w siebie. Pod nią świetliste jeszcze smugi podniebia, a dołem szeroko rozparte, białe namioty u drogi. Dzisiaj o świcie tu się zjawiły, o południu wyrosły, bez wczoraj, bez jutra, lecz pewne siebie, nieustępliwe się zdają, mocno sprężone na sznurach, u kołów głęboko w ziemię zabitych. Krzyż jaskrawy, czerwony mają u szczytów.

Zmierzch jeszcze ich nie objął, lecz już ku nim się skrada, bliżej i bliżej, niby ptak nocny kołysze się, krąży, jakby chwilę się trwoży, ucieka, to znów chwilę się zmaga z tą zimną białością i kształtem. Jakby ludzkie miał oczy, gdy dojrzą, że ziemi coś obce, więc sercu niemiłe.

Wraz wicher wypadł od pola i nizko, ziemią pogonił, nagle górą się poniósł, na szerokiem przestworzu w piersi nabrał oddechu,

całą mocą w białą zaporę uderzył, jakby chciał ją zerwać i skłębić i ponieść za góry.

I raz jeszcze i raz, lecz nie poradził nic siłą, odleciał. Tymczasem, niedługo mroczne, ciche skrzydła cały rząd białych namiotów już miękką szarością objęły; śmielej i śmielej, aż otuliły je w ciemność.

Wtedy w nich wielkie ślepia jarzące rozbłysły, rozgorzały w czarności. Chwilami się przymkną i noc je otoczy, to nagle rozewrą, a wraz długie, migotliwe blaski na ziemi się kładą, kędy raz po raz ciemny kształt ludzki przemyka, nagle w mroki zapadnie, skąd zgiełk ludzki i kipi wrzawa roboty. Żwawo biega tam światło latarni, i syczy ognisko, gdzie kołysze się czarna gromada, a obok chłopska chata stargana, rozbita. Rwą z niej krokwie i zręby, walą z łoskotem saperskie topory, pryska gęsto przekleństwo, śpiew bije i śmiech się przewala chwilami, jak grzmot.

Takby się zdawało, że oto człowiek szczęśliwy — buduje.

Troje dzieci u węgła. Trzy głowy przy sobie, a chwilami, gdy ruszy ludzka gromada i wesoły blask po nich chybnie — wielkie, nieruchome oczy tępo gdzieś patrzą, i więcej w nich ciekawości niż grozy. Przodem chłopak w czapczysku wciśniętem na uszy, owinięty w chustę, a za nim dwie jasne, jak zboże dziewuchy,

ciemne, wystrzępione kiecki, jakaś szmata czerwona i nogi sine, jak martwe. I pies czarny przytulił się do nich, żałosny, bezgłosy, ale gdy cień ludzki przesunie się bliżej, wtedy szerść na nim się jeży, białe zęby tłuką o siebie, i prze się całą siłą pod nogi. Nie umocniły w nim widać przyjaźni do ludzi dni ostatnich zdarzenia, lecz daleki od zdania się na łaskę, niełaskę pies-polityk dobrze wie o tem, że nawet z jedną paszczą rozwartą każdy więcej się liczy, niż z całą gromadą machających przyjaźnie ogonów.

Przerażonemi biega oczyma, a gdy blask po nim poleci, kłapie zębami, radby się z niego otrząsnąć. Wtedy zawsze jakaś ręka go sięgnie, lub wierzgnie chłopak tatowem buciskiem.

— A pudzies!

Jęczy, zawodzi rozdzierana chałupa, jakby z żywej ścięgna ktoś rwał i łamał w niej stawy. To znów żałość po niej się ciągnie bolesna, bezsilna. Nagle upór rozpaczny ostatnim wysiłkiem zatarga, gdy stary murłat, zaparty od pół wieku w powałę, nie puszcza, i choć walą topory i chwieje się osłabłe wiązanie, trzyma jak chłop pazurami, gdy całe dobro do piersi skrzyżowanemi rękami przyciśnie, i — bierzta, ale ze wszystkiem, z żywotem!

— E-ech ty! — i raz koło razu w twarde życie ugodzą siekiery.

I już życie tam pękło, a jeszcze chłopska

dusza zaciekła każdej drzazgi się czepia: — nie dom, i nie dom!

Lecz człowiek tu jakiś inny, niż bywa w spółżyciu. Oto stoi opodal niepewna siebie, trwożna, niemowna chłopów polskich gromadka. Ktoś z nich śmielszy, a może tylko ciekawy, zwolna, jakby z niechcenia, wahająco, ku saperom podchodzi.

Wnet od nich raźno odezwał się głos:

— Ej, pan! twarde wasze izby, ale twardsze ruskie topory.

I już uśmiech pełen przyjaźni zawsze chmurne twarze rozświetlił.

— Wiadomo, nie ostoi się sosna żelazu.

— Zaś trafi na sęk, to i odpryśnie... — ktoś szepnął.

— Ale jak dobra siekiera, to sobie uważta, że zaro zachwyci, a po drugie, że oto...

Wraz bliżej podeszli.

I jeszcze chwilę, a już całkiem sąsiedzka pogwarka między tym, co ma jeszcze całą chałupę, i drugim, który jutro ją zburzy.

— I na cóż to wam, panie ziemlak, tyla drzewa potrzebno?

Żółtobrody *sołdatik*, w rozchełstanej koszuli, z poza której pierś, jak u żubra szeroka, ryżemi kudłami porosła, splunął z rozmachem:

— E-ech, wasze drzewo.

I dorzucił po chwili:

— Wszystkie wasze chałupy krasnyj krest spali... — szerokim, hojnym gestem przestrzeń ogarnął.

— Ano! — wola cysarska.

A drugi podniósł pochylony łeb, prawie że biały, spojrzał blademi, niby woda, oczami i zakwilił jak dziecko:.

— My wam krew naszą, świętą krew prawosławną za zgniłe drzewo... A wam krzywda, — a!

— Kto mówi—krzywda? Najjaśniejszy pan krzywdy nie zrobi... — A że tam właśnie przy saperskiej robocie chłopskiej garści było potrzeba, tedy dwaj żwawo podeszli. I dwóch jeszcze z własną siekierą, a że, jak to mówią: śmierć rychła, kiedy syn rękę na własną matkę podniesie, tedy, jeszczeby człowiek jak należy pacierza nie zdołał, a już tylko czarny komin został z chałupy.

— Nu—Wania, taszczi... — i powlekli pamiętliwe szczapy z chłopskiej chudoby do namiotów, na opał.

Wnet dzieciaki, gdzieś w kąty cieplejsze, ostre zimno przegnało, i już tylko w dawnem obejściu zjeżony pies został. Lecz strach jakiś jeszcze w noc długo nim ciągle pomiatał, bo krzyż z szerści oblazły i kusy chował w opłotki i kłapał paszczęką. Może duch pokutował

wypędzony z chałupy, a może mu się coś tylko widziało. Jak chłopu, gdy sobie podje z wieczora za tłusto.

* * *

Ale, na doświtku jeszcze, zaledwie zmętniała noc, zaledwie szarzejącą smugą oddzielił się daleki horyzont od czarnej płaszczyzny pól, okiem nieobjętych, i zwolna poczęły przesączać się blade brzaski przez ciemność nizko nawisłą, — już u rozwleczonej chałupy, nad stosem, jakby z nieba spadłego drzewa, krzątał się człowiek.

Ani wiedzieć, jak się pospieszył, skąd nocą zadobył tyle dobra i cały statek ciesielski, a ledwo dzień zeszedł, już zwlókł długie bale i do prostokąta je równał, podwalinę pod chałupę kładł. Przy sporej pracy szybkie południe, ale już i przycieś choć zgruba ociosał, a gdy pierwsze zręby do niej pasował, wnet i na zbożną pracę padło w obejście:

— Szczęść Boże!

— Panie Boże zapłać.

— Jakże to, panie Kurek, ledwo wam jedno chałupsko roznieśli, jużeś-ta wnetki się na drugą zebrali?

— A no... zebrołem się.

— Aleś-ta i nie bojący, bo to gadają, że

sielna chmara ich idzie... gadają, że naszego już cafli.

— Ano... gadają.

Długa chwili cisza, tylko strugi pod szerokim toporem pryskają, tedy sąsiad postoi, postoi, ale że się jakoś nie ładzi rozmowa, tedy jeszcze popatrzy, galante odziomki, bo to ścisłe a smolne, pochwali, i:

— Z Bogiem ostajcie.

— Niechże Pan Bóg prowadzi.

Zaś Kusy, co przysiadł u drzewa i już je wziął w psią, szczerą i czujną opiekę, tylko za odchodzącym oczami powiedzie i znów ku gospodarzowi mądre spojrzenie odwróci, a nic jego uwagi nie ujdzie: może ważność poczętej pracy rozumie, może rad, że gospodarz znów przy nim, to jednak pewna, że na małe, strwożone psie serce, po dniach udręczenia, zeszła ulga radosna.

* * *

Czas taki wypadł, że co dnia odmiana, co dnia inna nowina. Ktoby jednak tam plotkom, ludzkim gadaniom uwierzył, kiedy i to, co się dzieje, na co własnemi patrzy człowiek oczami, wcale niepodobne do wiary.

Toć jeszcze wczoraj żołnierze snuli się po wsi — pewne siebie, zuchwałe gromady; żadne krówsko żałosne nie było pewne żywota, naj-

cnotliwszym kokoszkom sołdat łby skręcał, a byle kiecka mignęła w obejściu, choćbyś miotłę w nią oblekł, już ci grzmiało — urra! jak do ataku parła gromada, a podczas i z komory, ze strychu potrafili wywlec żonę czy córkę, i choćbyś tam błagał, łbem tłukł o ścianę, wtedy jeszcze urągliwie się naśmiał napastnik, bo niby skąd tyle krzyku — o babę.

— Przyjdź do nas w Rassieju, — trzy za jedną oddamy. I jakie!...

Toć wczoraj jeszcze cała ich rota rozciągnęła się rzędem, na szerokim łanie pszenicznym, zielonym, i — aj — da, bratcy! jak jeden posunęli kosami. Zaś nie było człowieka, żeby się nie zdumiał boleśnie na takowy niepojęty uczynek, i — nie było człowieka, żeby w niebo nie spojrzał, nie przeżegnał się w trwodze, bo choć nierychliwy Pan Bóg, ale przecie do bolącego go dojmie to zboże jeszcze mleczne, i w takiem zniszczeniu.

Ale gdzie zaś! Ani słońce nie zmierzchło.

Aż zeszedł ranek i ktoś wrzasnął:

— Germany!

— A juści...

Ale oto pastuch wypadł na wzgórek, spojrzał i — już ku lasowi, tylko piętami zaświecił. Za chwilę, pędem wóz dworski przeleciał, gubił szmaty, pierzyny, nikt ani spojrzał, a tuż na przełaj, co pary, rznął fornal na siwej cugowej — Matusiak, i jakby skórę darli na żywym:

— Germany! Germany!

Tedy ludzie i głosy — jakby pod ziemię... Ani pies się nie ozwał, nie zaćwierkał ptak, i tak się zdawało, że nad chałupą u komina dym zastygł.

* * *

W stratowanem obejściu, jako że stało przy drodze, na skraju, kędy przewaliła fala, stał Kurek, nad chałupą się troskał. Już ją pod samą powałę podciągnął, — właśnie po murłaty, po kozły miał jechać, — nie zdążył, bo las tak juchy obsiadły, że ani sposobu.

— Psia wełna — los!

I tak sobie z wielką żałością wspomina, że o wczesnej, o wiośnie, sam oto, z tem jednem siekierskiem zakładziny począł. I sam oto sprawił na podziw cztery izby z komorą, sienią, składzikiem, dnia nie zmitrężył, a nocami wydarł potrochu Moskalom, na zagładę skazane, żytnie poletko, i miał-ci na poszycie, dobrze ze trzy kopy pewno, słomy prościutkiej, od sierpa. I tak sobie miarkował, że, ani chybi, pod jesień siądnie w nowej chałupie, a tu bracie — masz!

Masz, ciemny chłopie!... — tak do siebie prawił. — Ot, nagrodę masz! Jeden ci chudobę zmarnował, drugi ci powiada: płać! Panów —

powiadają — las, opiekuńskie dziady; jakbym ja zaś winowaty był, że nie mój. Ha!

Rznął czapczyskiem o ziemię i przeklął wszystkie w świecie narody.

Ale cóż tu złością pomoże, gdzie i rozum nie zładzi? Tedy po chwili już jakby żałość się po nim rozlała:

— Hej, pokwapiły się juchy, — a poradzi co? — I chłop po czapę się schylił, ale wtem zastanowił się jakby, i ucho bliżej ziemi nachylił.

— Dudni...

Dłuższą chwilę posłuchał.

— Dudni!... ale — jakby z tej strony.

Wstał, czapę mocno nacisnął i spojrzał wokoło.

— Musi od tej strony zachodzą.

Aż się roześmiał.

— Hej, zakurzy się za wami, zakurzy... i ja drzewa, taki, od was nie kupię.

Do dnia jeszcze się zerwał i słuchał. Grzmot ziemią kołysał, ale skąd idzie fala? jakże zmiarkować, kiedy wokolusieńko... Jakby gdzieś tam zwalał kto okrutny las, jakby chałupami tłukł, a ta ziemia ino: dudu, dudu! — i nie wiedzieć skąd.

— Ale — ani chybi, że...

Zaś podleciał taki dzień, że zamarła wieś.

— Idzie, idzie — nasz!

. . . .

Przyszedł za psy — štraf.

I to było pierwsze.

* * *

Ano, cóż?

— Na tu, Kusy, na!

Gdy uszów pieska dobiegło wezwanie i w mózg uderzyło radosne, żwawo naprzód poskoczył, do nóg gospodarza przypadł, pełen wewnętrznej uciechy. Jak umiał, tak się cieszył pies — kusy. Czołgał się w piasku pokornie u nóg jedynego człowieka, któremu ufał na świecie, i jakby za dobre słowo pamięci dziękował, i oczy mrużył złotawe z dziwną lubością, i śmiał się, jak to psy czynią w chwili silnego wzruszenia.

Więc gospodarz mu sznurek na szyję założył, przyciągnął, a pies się tylko na krzyż przewinął, nie bronił, ale w oczach posmutniał, bo cóż to dobrego ze sznurka. I zaszamotał się nagle, ale już w mgnieniu moc niepojęta porwała go w górę, i zawisł piesek u świronka na drążku.

Targał się, targał...

A gdy sąsiad pod wieczór do obejścia zaszedł i spojrzał, gdzie wytarte, zrudziałe, bolesne w swej nędzy niemownej kudły zawisły:

— I cóżeśta psa tak niby kochali, a pies oto — wisi.

— Rzec inszo kochanie, a štraf płacić inszo rzec.

Czyli, gdzie się poczyna ofiara, tam się kończy kochanie.

Jak bywa u ludzi i uczonych, i możnych.

Jak bywa w rodzinie, jak bywa—z ojczyzną.

* * *

Niedługo chłop czekał — na drugie.

Bo gdy jesień już zeszła, a z nią jakoś przygasły ludzkie nadzieje — do wiosny, zaś upór zaciął się w nim, jak ta siekiera w twardą, smolną karpinę, co to ani wytargnąć, — jakoś o tym czasie, kiedy po bocznych drożynach pociągnęły pierwsze gromadki do Warszawy z mąką, a po chałupach gęsto siadły patrole, — u Kurkowych rozbitych opłotków zjawił się człowiek w wielkich, kutych buciskach, ręce jakby mu wrosły w kieszenie, w zębach memłał cygaro.

I kiwnął mu głową, ale czapki nie ruszył.

— Na... dobry wieczór!

Spojrzał wokoło, jakby po swojem obejściu, i cygaro w gębie obrócił.

— Fajno wos tutaj ten Rusek obrządził.

Chłop spojrzał z pode łba.

— A niby — i cóż?

Przewalając się z nogi na nogę niezdarnie, jakby w nim kolan nie było, do chałupy gość podszedł i głową ku niej poruszył:

— Rychtujecie, widzę, do zimy. Nie musita, ale robotę stoić ostawić.

— A drzewo, to niby — skąd?

Roześmiał się tamten — ku lasom:

— Drzewa w tym landzie przecie mata — po zęby.

— Tośwa mieli — wiadomo, ale tera trza kupać.

— Na... inaczej ale nie idzie. Kto nie ma, ten płaci.

Chłop niecierpliwie się ruszył, jakby go kto w miejsce bolące uraził. Jakby pierwszy raz słyszał o prawach własności.

Tedy rzekł twardo:

— Ja ta płacił nie będę.

— Zaś kto za was?

— A ten co me ukrzywdził.

I dodał po chwili:

— Niech ino wróci.

Wnet jednak sięgnął do czapki, pomiarkował: źle! Ów zaś prędko zagadał, jakby zatłukł cepami, raz koło razu:

— Tu potrzebna wacha. I albo, albo: musita stąd tutaj precz, albo za pięć dni dom ładnie do porządku przynieść, i wtedy możeta ostać na zadku.

I tyle go było, zaś chłop głowę zwiesił; już było mu jedno. Ocknął się jednak z żałości i splunął.

— Ano i dobra! albo, i albo. A w końcu jeszcze ze mnie się naśmiał. Możeta mieszkać — powiada...

Ale trzy dni jeszcze nie wyszło, kiedy pokasłując, wzdychając, że to na piersi falował, stary sołtys Kotyra już przywędrował, gdzie mu z gminy kazali.

— Pochwalony...

— Na wieki...

Sięgnął w zanadrze po papier, strzepnął i zdala go od oczów odsunął.

Do posiedziciela gruntu
Antona Kurek
we wsi Klodzie

zwolna pracowicie przeczytał i dodał, jakby stwierdzając pewność niezbitą:

— Pismo okazuje, że do waszej osoby.

Chłop jednak ręce za siebie założył, bał się wogóle papieru, jak ognia.

— Jo-ta nie gramotny... jo-ta nic nie wiem.

Stary głową pokiwał, jakby to wszystko wiele razy już widział, rozumiał.

— Nie pomoże štuka, Brać nie brać, zawdy wyjdzie na jedno. I zawdy — na gorsze.

List położył na przyźbie, powlókł się z obejścia, wykasłał, wymęczył, a gdy mu nieco ulżyło, jeszcze od drogi zawrócił.

— Bo na to niby wychodzi, zešta się, kumie, zawzieni. A tu trza kupić byle obladerków i gliną uklepać, zaś paliki związać do kupy, cóżta wyniesie, i — poszyć. Zawdy, jakby nie było, zimę przetrzyma.. — Zamyślił się chwilę i szepnął: — Do zwiesny... Nasz przecie idzie — słyszyta... Sprawiedliwie wam mówię? — powidzta?

Ale chłop jedno:

— Ja-ta płacił nie bede.

— No i jakże zbudujecie chałupsko? Kiej tera inny cały porządek...

— Panowie do lasu uciekły, a ja ostał przy lesie...

Nieustępliwy był sołtys, ano chciał coś rzec na to.

— Bo to, widzita, nie rozum... — Ale tu go kaszel znów porwał za piersi i targał, jak ten wiatr, kiedy z drogi starą szmatę podniesie i nią się zabawia.

Zgniewał się stary, cisnął rękami i poszedł.

Chłop deptał chwilę i jakby w sobie coś dławił, na tem jednak stanęło, że trzeba papier przeczytać.

Więc wypadł na drogę:

— Ko—otyra! Ko—ootyra!

— Ahu! Ahu! aha, ha, — ho—he! — już szło z dalekości.

Tedy odwrócił się chłop i własnej chałupie jął grozić:

— Już ja cię obrządzę, poczekaj!...

*
* *

Od kościoła po wieś legł spłachem szerokim szczerk umęczony, redlinami pocięty, a na nim rzędami, jakby bólem skręcona, nać rodnych krzaków, wcześnie w tym roku przywiędła, od zarazy sczerniała.

Długo naradzała się wieś, zwlekał naród z kopaniem, bo niepewny los, zaś każdy coś innego prawił: tamten widział, ten słyszał i drugiemu coś radził, sam zaś bezradnie nie poczynał nic, aż wreszcie w zimne mgły otuliło się niebo, ruszył od północy wiatr, w serca ludzkie niepokojem uderzył.

Ten i ów zwlekał jeszcze dzień, dwa, nasłuchiwał, wyglądał, jakby się ciągle jakiejś losów odmiany spodziewał, aż oto przyszli zdaleka podróżni...

— Ani chybi, na wiosnę...

Upewniła się wieś, że w pracy nie będzie miała przeszkody, a właśnie czas był ostatni.

Wyroili się ludzie gromadą na pole.

Aż uśmiechnęło się słońce przez mgły, a w duszach już radość zagrała. A gdy stara Kostrzewina, wdowa, przodownica dawna, ugięła spódnic i już z motyką żwawo przez redliny szła, wnet poczęli sobie przychwalać, na czyim zagonie dorodniejszy plon — jak co roku, jak zawsze, i ktoś tam już śpiewał, ktoś do śmiechu rzekł, i rozchichotała się owdzie dziewucha, jak ta młoda źrebica... Aż ruszyła praca,

zakipiała wnet, tylko stary Kotyra, otulony w kożuch, przysiadł sobie u wozu i czekał, aż się z rannej febry otrząchnie.

A za polem, szerokiem koliskiem, w złocie jesieni — młode, śmigłe brzózeczki, podszyte jakby ciemnym haftem ornatu świerków zielenią; za niemi, przez łąkę zrudziałą, w ciemnym parowie struga się wije, zrzadka blaskiem uderzy, ucieka.

Wojna, nie wojna—nie odmieni nic.

W cichości pochylili się ludzie, zrzadka dźwięknie o kamień motyka, gęsto pada plon.

Gdy wtem chłopak, co przy robocie, ale patrzy po stronach, zerwał się nagle:

— Pali się! Ludzie!

W mig sprostowały się krzyże, przysłonili oczy od słońca.

— Poli się! poli!...

Zakotłowało się kupą, skłębiły barwy, i wrzask... jakby garścią kto cisnął, rozsypały dzieciaki, za niemi szmaty i chusty, krzyk, lament; zakurzyło się pole i już parła gromada, od kościoła gnał dzwon.

Zaś ode wsi, na przełaj, stary Kurek umykał. Wnet dojrzeli go ludzie.

— Uciko... uciko!

Zaś w tyle stary Kotyra się wlókł i tak sobie ważył:

— Chłop z chłopa kwardy, sprawiedliwy

chłop, ale... Ale, żeby ino nie chybił, bo i prawo kwarde nam idzie... Żeby ino nie chybił.

Barwistym kłębem spadł lud w obejście, otulił ich dym...

* * *

Jakże ratować, kiedy pół koronki nie wyszło — zgorzała Kurkowa chata do cna. Poszukali ludziska w popiele, czy się jakie żelazko, czy coś z domowego pożytku nie znajdzie. Nie znaleźli, rozeszli się. Bo niby nie taki znów wielki ambaras, kiej się cudza spali chałupa.

A niedługo, pono Kurka w lasach widzieli. Trudno się z nim było dogadać, bo tylko jedno wciąż prawił:

— Taki drzewa nie kupie—nie kupie.

— A kiej do wsi powróci, nie gadał?

— Na wiosnę wróci — powiada.

I powlokło się życie, chłopskie życie, pod zimę. Z jedną w sercu tęsknotą, z jedną w duszy nadzieją:

— Na wiosnę... Niech ino pług ruszy... niech ino słoneczko...

W SIODLE.

— *Go on!*

Na angielskim *crack*'u i w czerwonym *dress*'ie.

Bo zbiegły już czasy aż do niepamięci, kiedy posiadaliśmy własny swój język na wszystkie terminy, i kiedy o polskim koniu, o polskiej jeździe wielki głos szedł po świecie. Aż rozdzwonił się w echa tysiączne wśród skał Somosierry — i zamarł, przemocą zdławiony.

Zbiegły, jak sen — jak sen, któremu trzeźwe życie się dziwi, zbiegły owe czasy i czary, gdy na pańskich zamkach, w złotogłowiu falach, klejnotami skrzących, przy hucznej fanfarze a myśli beztroskiej, odprawiano turnieje, kawalerskie igry. Kiedy to najpiękniejsze ludzkiej duszy dary — odwaga i miłość — wiodły rycerza w barwach kochanki, „z dwornym ukłonem i zniżoną kopią", w szranków jasne kolisko.

„A białe się pióra chwiały na szyszaku,
„Przez lewe ramię pas przewieszon drogi,
„A koń się wspinał od złotej ostrogi".

I jak sen dawny zmierzchły wspomnienia, dy imć pan Ossoliński przepychem świat zdziwił, — a chwała polskiego narodu poszła po dworach, gdy jegomość xiążę Sapieha w tysiąc pięćset koni „co najcudniejszych“, w sto landar poszóstnych, a piórno, barwisto, w złotolitych blaskach, z ciemną chmarą sług, ciurów, poselstwo do Moskwy odprawił, hosudarowych panów na harce rycerskie zaprosił, wspaniałością zabawy, królewskiemi darami ich olśnił, dla uciechy pospólstwa srebrne gubił podkowy.

Odwróciła się karta.

W ręku program konkursów: — 600 rubli nagrody i przedmiot od pułku dragonów.

I wspomnienia uciekły; żal za tem, co było, już w sercach nie mieszka.

— *Go on!*

Na *crack*'u angielskim i w czerwonym *dress*'ie.

A mundury rosyjskie wokoło.

I gwar rozmaity — nie polski.

* * *

Koń ruszył w krótkim galopie zebrany, jeździec mocniej osadził się w siodle, ku dołowi sprężył nogi w strzemionach i z koniem się zwarł, na dobrą dolę, na złą.

Dzwonek uderzył, i wraz w ludzkiej ciżbie odpowiedziało mu serce blizkie, jedyne — nie-

spokojnie zatłukło. I jakby ścichło strwożone, gdy koń w nagłym rzucie się wydarł, w szerokim skoku mgnienie zawisnął, ulżonym krzyżem ponad płotem się przeniósł, ciężar opadł na siodło.

— *Flying!* — krzyknął ktoś w tłumie.

— *Ach, czort tie dieri!* — odpowiedział z uznaniem ktoś drugi.

A tam rozchyliły się usta, oddech zaparty ulgą z nich spłynął. i znów serce pędem pobiegło, zamarło, znów zakołysał się tłum.

— Dobrze, dobrze, bez błędu.

Ale tuż nasyp — złośliwe, zdradziecko pochyłe wzniesienie. Chwila krótkiego wahania przez uszy końskie przebiegła, ale już w pędzie miękko przygięły się nogi, już się w górę podniosły i w dwa takty pochylił się jeździec, odchylił. Już za przeszkodą krótkiemi skokami rwie przestrzeń, i dalej koń nad baryerą zabłysnął, dalej czerwoną plamę przeniósł przez „*triple barre*“, przez mur — już jej oczy się śmieją szczęśliwe; gdy nagle zbyt siłom zaufał, do skoku przed czasem się wyniósł — zwaliły się drągi. Łoskot grzmotem po mózgu się przeniósł, żgnął w serce ból.

Wtedy obok, w drugiej kobiecej duszyczce rozpłynęła się radość i na mgnienie skrzydeł motylich oczy zabłysły szczęśliwe, bo oto ubył

współzawodnik, ten najgroźniejszy. Już żegnał go dzwon.

A za chwilę, gdy skończył się bieg, radosna twarzyczka oblekła się w smutki; a tej z żalu pobladłej powabny uśmiech usta rozchyla:

— Jakże się cieszę z zasłużonych sukcesów!

— Dziękuję, ale — przykro, doprawdy... Małżonek pani tak bez zarzutu i, nagle taki wypadek... Bardzo, bardzo odczułam...

— Słowo *pani* współczucia będzie mu drogie...

I patrzą na siebie z uśmiechem, z tkliwością.

Gdybyż to było można oczami — zabijać!

Chwila milczenia: dzwonek w porę uderzył, już w sarnich susach, lansadach wypadła od stajen *My Ownest*. Suchy i drobny, lecz jak stalowy pręt giętki jeździec rwie na niej ostrym galopem.

— Dobry ma *pace*.

I tak się wydaje, że drobna figurka ciska silną hunterką na wysokie przeszkody, a klacz sadzi susem szerokim, zdaje się cieszyć szczęśliwa, że tyle oczu ją ściga.

I znów spadły drągi—przeszkody, klacz wyrwała się skokiem, i znów łoskot złowrogi, a w gromadce sportsmenów i *ladies* z ożywieniem rozmowa, dlaczego się to stało?

— Bo *Herz*'u w nim, panie, za dużo.

Jak gdyby to serca być mogło za wiele.

A jednak, i — może, bo oto jeszcze *My Ownest* drżała ze wzruszeń przeżytych, a tam, przy trybunach, zaledwie usta drgnęły cichym wyrzutem:

— Ja tak w ciebie wierzyłam! — a w pięknych oczach, jak cenne klejnoty, łzy błysły, gdy chyłkiem od stajen, kłapiącym truchcikiem, wysunął się podkasany gniady, zgoła bez wyrazu, a na nim jeździec bez duszy, bez krwi.

Targnął cuglami, bo koń mu się zdawał jeszcze zbyt szybki, przewinął się gładko przez pierwszą przeszkodę i jakimś psim skrętem, poskokiem pracowicie przełażąc, zdobył wszystkie, bez błędu.

Bez uśmiechu i śladu radości przyjął kokardę, i do stajni truchcikiem tym samym poczłapał.

I tak się zdawało, że nikt tego zwycięstwa dla niego nie pragnął, ani się martwił zwycięstwem, a gdy mu składano życzenia i ktoś się się zapytał, jakiej rasy jest klacz nagrodzona:

— Bez rasy.

Zaś gdy inny zwrócił uwagę, że jednak może serca w niej trochę za mało, uśmiechnął się pobłażliwie:

— Serce, panie, nigdy nie płaci.

*

Dzielny *King*, choć twardą prowadzony ręką, ponad dwumetrową wysokość się wyniósł, oczy tłumu porwał za sobą.

— Wziął! — do oklasków złożyły się dłonie.

W długim galopie rozciągnęła się faworyta Daszkiewiczowskiego stada — rosła klacz „Marysina“, i chwila odskoku, jakby mgnienie zastanowienia jeszcze, i już zaważyła nad drągiem, zad lekko wyniosła — — bez błędu!

Za nią, z wdziękiem, w skoku się przygiął, rozprężył — „Barin“, koń z bajki.

Chwila ciszy, gorące rozprawy: dobry *jumper... puller... bascule'a* tempo za krótkie... a ów najgłośniejszy, co nigdy na koniu nie siedział. I znów natężona uwaga, gdy ponad dwa metry podniesiono wysokość, a nie byle o co chodzi, o miłość własną jeźdźców Warszawy, o pobicie rosyjskiego rekordu.

I *King* ruszył znowu. W potężnie szerokiem odbiciu, nadkońskim wysiłkiem podniesione drągi przesadził.

— A—aa! — zakołysał się tłum.

A tam, jakby sercu ciasno w piersiach się zdało, radeby wyrwać się, biedz, gdzie drobny jeździec już na klaczy się wspiął i z okrzykiem, jakby duszę oddać jej chciał, bodaj kawał życia własnego:

— Ho—oop!

Za piękną chwilę bohaterskiego wysiłku tłum ludzki dziękuje. *King*, *Marysina* na ustach.

Z ulgi odetchnieniem, z oklaskiem szczerym, serdecznym, mocny głos polski się wydarł:

— Rekord pobity! Zwycięstwo!

— Zwycięstwo! — falą poszło przez park, powtórzyła ulica.

I nagle zakołysała się myśl, i jakby jej ciasno, do dawnych dziejów ucieka...

— Zwycięstwo...

I jakoś dziwnie na duszy, jakoś małem i nikłem się zdaje, co tak mocno przed chwilą wzruszało.

* * *

A jednak, choć przemożny czas, ciągle nowe życia warunki, a przedewszystkiem zła moc twardego bytu zwolna zadręczyły dawnopolską świetność jezdeckich zapasów, jakby ktoś krew po kropli wytoczył z rycerskiej, serdecznej, ochoty, aż opadła bezsilna i drwiąca z przeszłości, w samochodach *raid* benzynowy odprawia, — jednak to pewna, że w polskich dusz ukochaniu jeździec dawny wciąż żyje, niby owej karabeli szczątek czy stary ryngraf, choćby strzęp pasa słuckiego. Do nich zawsze oczy pobiegną, myśl z rozrzewnioną ciekawością się zwróci.

A dość tutaj spojrzeć po szarej ludzkiej gromadzie, co snadź głębiej zachowała dawnych

animuszów jezdeckich tradycye, bo z jakiemże uczuciem, przyrodzonem znawstwem, śledzi konia każdego i nim się lubuje, a niechże tylko czerwony frak błyśnie na torze, wnet zewrze się gęsto gromada i z niej głos, jakby wzruszeniem zaparty:

— Nasz jedzie!

Wtedy myśl każda i każde serce rwie się i biegnie za jeźdźcem, a gdy niepowodzenie się zdarzy — chwila ciszy w gromadzie, gęsto mocne przekleństwo.

Jakże inaczej w barwnej, wielkopańskiej ciżbie, u trybun, gdzie i zachwyt kłamie, i wzgarda nieszczera, a mówić o jakichś myśli pamiątkach, o serca porywach, a zwłaszcza po polsku, będzie zawsze w złym guście.

Ale pono zawsze tak było.

Bo, jak mówi poeta: ażeby pokochać, trzeba wprzód stracić.

A do stracenia — niewiele.

NA POLSKICH DROGACH.

Któż nie zna tej chwili, gdy wartkie koła turkotliwej bryczki z bitego gościńca miękko, choć nagle, w ciężkie piaski bocznej drogi zapadną?

I jakby zaduma osunęła się w ciszę, choć może przed chwilą smutno a nudnie w mózgu kołatała troska, lub targał się żal, zrywał, powracał, dzwonił jednym wyrazem, i próżno uciekała myśl, czepiając się drzew, kresów dalekich, ludzi i chat. Dziwna moc parła ją z powrotem w mroczne siedlisko smutków gderliwych, daremnych wysiłków, czy straconych nadziei.

Aż oto i chwila kojącego znużenia, myśl kołysze się w ciszy. Przed oczami złotawe grzbiety prężą się w pracy sporego kroku, zaś obok, jakby wyczuwając chwilę sposobną, już pół obrotem zwraca się Szymon czy Piotr i coś tam prawi, co się już tyle razy i w tem samem miejscu słyszało. Coś o mostku, po którym właśnie zastukały kopyta, — że to jechać po

nim jest zdradno, albo coś z plotek o dworze, co tuż u drogi, z pożółkłej kępy białymi filarami mocno się znaczy, albo o lewym wałachu, co jakoś na nogi faluje.

— I drugie, że do pary — nieskładny. O czem przecie się zaraz mówiło.

A bokami, szeroką smugą, że okiem nie sięgnie, młoda ruń już się ściele. Rdzawe piórka ledwo z ziemi wysterkły, a prężą się hardo, w równych, zwartych szeregach, jak wojsko w dobrym ordynku a w szczerej ochocie, na jednej ziemi wyrosłe. Jednem sercem, jednym trudem stworzone — polskie pole ozime. Każdą dolę przecierpi, byle tylko nie zawiodło go słońce. Byle nie zwiodło jasnym promieniem, w przededniu prawdy—bezlitosnej klęski.

Zaś dalej u krętej, jakby zapomnianej półskiby, od strony sąsiada wyżartej, siadła chłopska chałupa, jak ta kępa rokity, co tam sobie z Bożej woli wyrosła, gdzie wiatr cisnął nasienie. Jakoś bokiem siadła niezdarnie, i jakby gościom nierada, dwoma okienkami w dworski las patrzy, i z tej strony obejście; od tej strony wygoda, boć nie z drogi chłop żyje.

Pracowicie, w sypkim piasku brną konie, osypuje się kolej i jakby płynie bryczka, bez śladu.

— Ale jakżeby zaś było na świecie, żeby każdy, kto jadzie, swoją kolej ostawił, toć wtedyby nigdzie nie było kolei... Już-ta Bóg wiedział, co komu... Wio, gniade!

*

Krzyż stoi przy drodze, Męka na nim podzwania. Wiatr od zachodu go chyli na trzy gibkie brzeziny. Z każdym rokiem krzyż stary słabieje, za to brzozy mocniejsze, coraz pewniej go biorą w ramiona, coraz szerzej listowiem go kryją, jakby o tem wiedziały, że są złe, nienawistne oczy na świecie, co sięgną przez próchno czarne, zbutwiałe aż do serca pamiątki, do krwi wiecznie żywej...

Od pół wieku krzyż stoi u drogi; nie zmieniło się nic. Krętym szlakiem, jak dawniej, polska droga ucieka, a przy niej pamiętliwe chaty, wielkiemi czapami nakryte od fali. Białe podsienia, w chatach zaś ludzie pono ci sami, tylko coś, jakby z roku na rok, coraz mniej czapek przed starym krzyżem się chyli, a już rzadki człowiek pamięta, jakiej on strzeże pamiątki...

— Wio, gniade!

Tuman światy przysłania, ani spojrzeć przed siebie.

Zrzadka wiatr się poderwie, płową targnie zasłoną, i jarzącej jesieni takie dziwne uroki, cuda blasku i barwy ziemia niesie przed oczy.

*

I nagle, jak w sennym obrazie, gdy błogą ciszę pogodnego marzenia ostry krzyk przej-

mie, nagle — jakby zachwiały się chaty przydrożne i szerokie pola rożjękły, gdy w nocnej cichości jasny grom rozdarł sine przestworza, w żywą ziemię się wdrążył, bólem zatargal.

Wślad za nim drugi, brózdą głęboką zrył pole ozime, zatrzęsła się wieś, śmiertelnym dygotem przejęta, a w serca człowiecze zapadł niemy strach.

Chwila odetchnienia, ciszy, a ledwie zabiegała myśl, ledwo w czarną grozę wparły się oczy, już huraganem przeniósł się grzmot i zwalił ponury i legł. A wraz się zaśmiała niesłychana moc, głuchy łoskot cisnął się w ów śmiech i rozłupał tuż, gdzie się wydarł blask. Tu i tam, jakby wrócił znów, aż się zmienił świat, zakotłował z wichrem ryk, a od czarnych błyskających kresów lasu wzniósł się bury, ogniem pręgowany kłąb. Sięgnął ciemnych strzech płomienistym jęzorem, kręteml smugami po nich zabiegał, rwał snopy iskier, owdzie głębiej się zaszył, nagle wychynął i, wężowym kształtem spleciony, z czarną mocą zmagał.

Aż zakwitło w blaskach, szamocących się z sennym mrokiem, obejście, zabiegały czarne postacie i rwał się od nich bólem targający jęk, wpijał rozpaczliwie w grzmot strzałów, jakby zmiłowania błagał, to znów rozżarty, dławiony, mocował z roziskrzonem, czarnem chmurzyskiem. Pod trzaskiem walących się ścian szamotał się jeszcze. Aż padł znowu grom, rozbił jęk ludzki, rumowiskiem przywalił.

I, długo w noc, jakby mocarz — zły bóg młotem tłukł skały olbrzymie, i zwalał się na krwawy trud ludzki, na radość chaty słonecznej, na miłość i śpiew.

A gdy wstał zimny brzask, tak się zdawało, że długo trwa w mrokach przedranka, niby ów człowiek bolejący, co oczy przysłania, zanim zbierze moc w sobie i spojrzy.

W drętwej ciszy, mgłami zasnuty, wstaje dzień nowy. Idzie upiór przez pola, niesie głowę pod pachą i ciska nią w ludzi, co noc taką przetrwali.

Aż nagłym, szaleńczym śmiechem zerwie się myśl i pogoni w las.

*

Próżno szukać drogi, gdzie była. Nowe szlaki rozdarły ją wszerz, wżarły się w rowy głębokie, czarne, oślizgłe koleje, pobiegły kręgami przez pola ozime i wróciły od boru. W jednem miejscu się zbiegły, gdzie stał stary krzyż, a dalej uciekają w trzy strony, i tam, gdzie od wieków szedł tylko pług, gdzie zając lekkim skokiem pomykał, a chłopski pies, Kurta, myszkował, leżą jaszcze strzaskane, broń potłuczona i gniade, czarne kadłuby w zakrzepłej gęstwie ciemnej posoki.

Tuż człowiek—nie człowiek, kłąb skrwawio-

nych łachmanów, w pulchną ziemię głęboko wciśnięty, zwiesza się w jamę przez granat wyżartą, sterczą końskie nogi sprężone, torba żołnierska, roztrzęsione listy wokoło, kawał czerepu, jasną szczotką włosów porosły, i kask czarny, połyskliwy opodal, a na nim napis: *Mit Gott.*

A dalej – jakże to osobliwie śmierć ludzi układa: to dwóch wrogów, jakby za ręce przyjaźnie się wzięli, przymierzy do siebie w uścisku, to znów trupa usadzi, jakby coś koło zamku karabina majstrował i, tak się wydaje, że niech tylko kroki usłyszy, zaraz głowę podniesie; a tam dwaj na klęczkach z sobą się zwarli; trzeci siadł przy nich, rozważa, a obok z kłębu ciał ludzkich cztery ręce na jednym karabinie zastygły. Dalej zaś pustka, i znów jakby ktoś ludzi zniósł z pola i o staję równym szeregiem ułożył, ktoś o tę przeszkodę się potknął w pośpiechu i padł, rozchylone ma usta, jakby słowo na nich zamarło ostatnie.

I znów gładkie pole; wiatr kartę białego papieru odchyla:

W pierwszych słowach mojego... niech będzie... a teraz ci się kłania, pozdrawia... jakby zdarzyło... żebym ci może szmaty przeprała... sześć złotych i groszy... w markotności, że nie daj... dobrej odmiany... Kochające dzieci... pamiętaj... ślubował... w takiem umartwieniu... Ament...

Ległaś, kartko znajoma, na polskie poletko.

A przy niej człowiek z rozrzuconemi szeroko rękoma, jakby ziemię chciał objąć; z rany w piersi wyżartej krew wszystką jej oddał — wypiła.

Przez lat parę z kolei na tem miejscu zaduma się chłop: skąd taki bogaty darzy się tu plon?

* * *

Jakże dziwnie na duszy, gdy w tej pustce śmierci, czarną krwią oplużonej, nagle, jakby ciche granie, płacz dziecka doleci, a tuż, obok przy miedzy, u krzaka tarniny kłębuszek gałganów, chusta kraciasta, i patrzą oczy wielkie, niebieskie.

— A skądżeś, dziewucha?

Głos już-ci ludzki jej się wydaje, ale strach trzyma za gardło. A gdy już wszystkie z kolei wykręciła palce u sinej rączyny i jęła się rudych, zdartych trzewików, nagle szeptem zatrzęsły się usta i wielkie łzawe oczy pobiegły, gdzie strzaskana topola białym strzępem zwisła, a pod nią usypisko czarne, słup dymu w niebo.

— A czyjaś, ty, dziecko?

— A mamina — ja.

— A gdzież twoja matka?

— A za krową poszła, za graniatą, za tę górę, wej!

I sięga ku misce kwiecistej i usta kartoflami zapycha, łzami zapija. I patrzy z lękiem, czy obcy nie zabierze, gdzie na dnie, jeszcze trzy, cztery sine, z gruba obrane.

— Matka ci dała?

— A ino...

— A dawno tam poszła?

— A jutro.

Ale gdzież tu matki dopatrzyć w tej szarej pustce, strzępami czarnych dymów zasnutej. Od każdej zburzonej zagrody się wloką, niby pasma z kadzielnic ofiarnych i, jakby odchodzić im żal, zwisną czarną chustą nad ziemią zastygłe, to znów się w kształt ludzkiej postaci wydłużą i suną od zgliszcza do zgliszcza — upiory.

Wzrok biegnie w tę stronę, gdzie skraj pola odcina się blado od ciężko zwisłej mgły szarej, dziwną martwotą przeciętej. W oddali skrzące dymy się kłębią i grzmot przewala złowrogi.

Gdzieś nowa droga się ryje przez szare chaty i dawne krzyże, przez krzywdy wiekowe i polski ból.

A tuż u stóp samych — jedno źdźbło ludzkie z pól rodzimych wydarte.

POGRZEB.

Wczesnym rankiem, o wiośnie, blade mgły z łąk się podnoszą, a lud wtedy powiada: śmierć wstaje, — jak gdyby to ona kiedy zasypiała nocą.

We mgłach konie na błoniu, na ciemnych jeszcze smugach się pasą, a górą sine, chłodne przestrzenie i pobladłe gwiazdy. Pod kępą olszyny tylko co właśnie ocknęli się ludzie; dwa szare cienie i o czemś już radzą, a tak się wydaje, że z obrazu powiał nagle ziąb rzeźki. I przyniósł dźwięk głosów po rosie, co z przedziwną harmonją się wplata w szelesty traw suchych u wody.

A daleko, daleko, gdzieś tęskni źrebica.

Chyżo dzień biegnie. Południe. Chudy, chłopski ugorek, dwa wolce i socha, i dziad stary zmożone nożyska na ziemi wyciągnął. I zamarł w przemożnej wiosennej lubości, i oczy oślepłe podniósł ku słońcu, gdy chłopiec w samo ucho mu krzyknął, radosny:

— Dziadu, już lecą — bociany!

Zaś dziad w słońce precz patrzy, nic, że ptaków nie widzi—wiosna w duszy przecie mu gra.

A gdy wczesne, przedwieczorne mroki jakby z lasu wybiegły i ciepłą szarością napoiły smutne ugory, a wraz chyżo zbiegły po zboczach na wód jasne roztocze, sięgając już ciemnych zakątów, burej gęstwy szuwarów, gdy na miękkich skrzydłach wysunął się nad wody ptak, niby cień, a rozległy się wśród ciszy, jakby w zatajeniu tłumionych uczuć tęsknoty, nagle z mocą rozdźwiękłe ptaków pokrzyki, a wraz sznur kaczek na chybkich skrzydłach wzbił się w górę, — podczas jakby tej chwili czekając, zakołysały się wody. Blady opar z nich wstał, rozwiał się w mary, co za ręce się splotły, wlokąc długie, białe welony za sobą. Otuliły noc. Zeszłe ze świata dusze topielic, w grzechu umarłe.

Aż znów zejdzie na ziemię rzeźki, krzepki brzask i na tle szarych mroków wymaluje dwór.

Jasny przy nim ganeczek, dobry dworu brat, małe okienka ciężkiemi okienicami zaparte, a u podciesi — pieski śpiące w kłębuszkach.

Wokół, jakby świat zamarł, znikąd głos nie dobiega, wiatr nie trąca w liść.

Cyt!

Może szczęście mieszka w tym dworze, może

młodość noc słodką przeżywa, może złote roją się sny, lecz ani się oprzeć wrażeniu, że w chłodnej poświacie, co rozpłynęła się blada, upoiła senną martwotą utulony w bezruchu stary polski dwór, że gdzieś, tutaj, gdzieś blizko, krąży niema, głucha śmierć.

Już tu była, odeszła, powróciła jeszcze...

I dawne dzieje się marzą; coś z przed półwiecza, gdy w ciszę nocną, w lękiem przejęte serca nagle gwar obcy uderzył i rozdźwiękły ostrogi.

Cyt!

Martwa cisza zeszła ze świtem; chyłkiem, ostrożnie z jakiejś nory ocalały człowiek wychynął, przeszedł puste komnaty, zmówił pacierz za zmarłych, za żywych... strzelbę zdjął z kołka, popatrzył wokoło, jakby się żegnał, dom zawarł za sobą i poszedł...

Obrazy. W każdym z nich Polska, w każdym z nich — śmierć.

A tem groźniejsza, tem więcej okrutna, że nigdzie jej niema, a wszędzie zdaje się snuć.

Blada, bezgłosa, rozwłóczona, jak mgły nad wodami wiosną.

Aż przyszła w kwietniową noc, straszna, i w samo serce — smutny, pognębiony kraj...

Umarł Chełmoński!

Jeszcze jeden — z ostatnich...

W gęstwie z ciemnej zieleni, pod nizkim

stropem wiejskiego kościoła legła trumna ze zwłokami artysty. Bez mała pół wieku na chwałę narodu pracował.

Kilku blizkich u trumny i tych, których serce przywiodło, z obowiązku inni. Kilkunastu dobrej młodzieży, za dzielnego malarza przewodem, i garść chłopstwa, co zawsze się zjawia, gdy wszystkie świece się palą, gdy nabożeństwo jest — ładne.

— *Oremus!*

Ale aż trwoga chwyta za serce i żal, bo któż to się ma modlić, gdy tysięcy zabrakło z ostatnią posługą dla pierwszego w Polsce malarza.

A i z tych jeszcze, co zjawili się tutaj, trzech, czterech ani głowy nie schyli, gdy ksiądz z Sakramentem wzniósł ręce.

Nowi to ludzie — uciekał przed nimi za życia Chełmoński.

Zaś u podjazdu — samochody, fotograf... Śpij, Drogi Mistrzu, coś poza brzozą płaczącą u wody, poza krętą ścieżyną, poza polskim chłopem i koniem i dawnem wspomnieniem, innych światów znać nie chciał.

A ktoś tam o rodzinę się pyta: kto kogo rodzi, gdzie mieszka? zaś inny, gdy nie zdołał za życia, radby w godzinę śmierci do pracowni się wedrzeć, zerwać brutalnemi rękami zasłonę

tajemnej, zakrytej dla oczów ludzkich świątyni, gdzie tworzył artysta.

I ktoś jeszcze, z coraz młodszej sztuki, o nowych prądach rozprawia...

Smutna nowych ludzi — kultura.

— *Oremus!* — rozlega się z mocą w kościele, potężnym żalem odetchnęły organy, śpiew od chóru rozjęknął.

I słowo ostatnie mszy żałobnej zapadło, jak wieko trumienne.

A gdy już ciężar śmierci dobrzy ludzie na ramiona podnieśli i powlokła się garstka wiejską, czarną od błota drożyną, stara babka wioskowa, zapatrzona w kwietne wieńce i wstęgi:

— Musi pomarł ktoś znaczny?

— Znaczny, znaczny, staruszko, sam Bóg łaską go znaczył, zachował mu życie bez skazy.

Biegnie oczyma za trumną babina.

— Ale ludu coś jakby przykrótko.

— Bo śmierć znagła przychodzi, widzicie, a tu się trza przecież rozpatrzyć, rozważyć w żałości. Zaś czas taki podleci, że i tu tłum się zamrowi. Jeszcze będą chcieli trumnę stąd nieść...

— Niechże Bóg broni od grzechu.

Bo przecie nie wie staruszka, że o splendorach dla chwały wielkiego syna ojczyzny jeszcze w Polsce — pomyślą.

A ci pierwsi, którzy — nie przyszli...

* * *

Kto go poznał choć trochę — dziwnego człowieka, co źle nigdy o ludziach nie mówił, lecz stronił od ludzi, może mądrością przeciętną wartość oceniał, może sercem artysty przeczuwał, że tylko w samotnem skupieniu wielkie dzieło wyrasta, a może tylko z wielkopańskiej fantazji w ubogiej chacie się zamknął, — kto go poznał choć trochę, kto raz go zobaczył, a nie zapomniał nigdy, bez wątpienia ocenił, że poza miłością dla sztuki, poza ukochaniem ziemi ojczystej, nie było w jego twórczej myśli miejsca na pychę goniących za tanim rozgłosem ludzi z szeregu.

Ale dumny był pan, nie chciał nawet po śmierci iść w miasto, gdzie we wszystkie dzwony uderzą, nie chciał, aby ludzie przyszli do niego. Na chłopskiem odludziu, na wiejskim cmentarku kazał się grześć.

Tak się stało jak żądał: pod trzy sosny, brzezinę, na szczerk sypki opuścili trumnę. Nikt słowa nie szepnął, poszedł w serca dreszcz.

Tylko za czarnym kwefem ból skrzywił piękne usta, wola jęku nie zmogła.

I mgnienie martwej ciszy, jak chce tego żal.

Aż odezwał się głos. Płynął jednostajnie, wolno, jak wody, którym ludzki wysiłek dał określone granice, i biegły przez wiejski cmentarzyk dźwięki tu obce: Paryż, salony, nazwiska, tytuły...

Nagle głos zadrżał i począł się rwać, gdzieś w głębi jakaś dobra moc jęła targać gładkie wyrazy, zemknął się bliżej lud, pojął ciepło serdeczne bez słów, niby ów ślepiec z obrazu, co ku ptakom przelotnym wzniósł martwe oczy.

A potem ktoś jeszcze zamknął mowę w zgasłego mistrza obrazach i jak pieśnią, w cudnych barwach wsi polskiej, rozkołysał wspomnienia wszystkich dzieł wielkiej sztuki i wielkiej miłości.

Posunęła się trumna ku czarnemu sklepieniu, chwila ciszy znów zeszła, jak chce tego żal.

Dźwięknęły kielnie, coraz wyżej, wyżej kładą się cegły, aż zamknęły w czarnym, zimnym lochu niepojętą dla ludzkich rozumów, świetlanej myśli twórczą tajemnicę.

I zwolna ruszyli ludzie od grobu, a każdy niósł jakby ciężar w sercu wzruszonem.

Śpij, drogi Mistrzu. Długie wieki przeminą, a jeszcze myśl ludzka z uwielbieniem do Ciebie powróci.

ZŁE MIASTO.

Jest w Polsce takie miasto — złe.

I jakże obłudne, bo, jakby w welon żałoby spowite, a drwiące ze śmierci. Tysiące szczytów wyniosło w podniebia wysoko, a spodem we krwi się pluży. Nieugiętą moc czerpie z wiotkich kwiatów bawełny, a z martwego złota życie. Występkom zawdzięcza zasługę.

Istnieją w tej wieloludzkiej siedzibie, gdzie jednak, jak powiadają, trudno o ludzi, istnieją w niej dwa krańce: nędzne, wrzawliwe przedmieście i można, zaufana w bogactwo i władzę, cicha ulica. Od wsi polskiej wzięła nazwanie, wrogom Polski dała przytułek.

Dwa krańce miasta stanowiły oddawna jakby dwa państwa. W jednem pana udawał, w rok zbogacony, wyrobnik, w drugiem lata panował nad głodem, troską i—sobą, ukrzywdzony i biedny. Różnili się władcy oczywiście w poglądach na dobre i złe. Zwyczaje, uczucia, wierzenia mieli odmienne, jednak mocą wspólnych interesów związani, musieli się zno-

sić, nawet przychylnością tumanić, aby tem łatwiej wyzyskać, jak tego cel wszystkich spraw miasta, błogosławiona korzyść wymaga.

A wiązał dwa krańce w zgodną wspólność handel zamienny, gdyż od stu lat państwo przedmieścia dawało materjał surowy: siły, młodość i wdzięki, zaś można ulica zużywała ów towar, ofiarując wzamian szereg dobrodziejstw, więc prawo i możność odżywiania się zupą rumfordzką, noclegowe przytułki, łóżko w szpitalu, o ile wolne, i — uszlachetniającej pracy godzin piętnaście!

I nikt nie pobierał mniej, jak dwa ruble na tydzień.

Trwał handel zamienny przez lata. Raz, drugi błysnęły płomienie niezgody, ogarnęły dwa krańce, lecz gasły stłumione, nim zeszły się w wielkie ognisko. Tlało jednak zarzewie, żal trawił i krzywdy poczucie i niemoc, aż nagle — poczęli się skarżyć plantatorzy możnej ulicy:

— I czegóż chcą jeszcze? Pracują tylko jedenaście godzin na dobę, za byle palec urwany setki rubli się płaci, pomoc lekarska, kąpiele, familijne domy: żyć nie umierać.

Zaś ci z przedmieścia, pierwsi bojownicy, a za nimi dziesiątki tysięcy po całem mieście dzisiaj rozsianych:

— Poczekaj!... Czas przyjdzie.

Aż przyszedł rok 1905, i nagle w olbrzymich tyglach, rozrzuconych po tem państwie Wyzysku i Chciwości, gdzie dniem, nocą huczy, wre, kłębi się praca, w tym mechanizmie złożonym a tak jednolitym, coś, widomie, poczęło się psuć. Po domach robotniczych, po zaułkach szedł już odgłos ponury, złowrogi, jednoczył się, olbrzymiał, aż grzmotem rozszalałego żywiołu się rozległ. Skowytem strachu odpowiedziało miasto, ścisnęły się serca...

— *Jesas!...*

— *Gewałt!...*

Dwa narody, jednem nieszczęściem dotknięte, wydały dwa jęki.

A strach wielkooki gnał już za granice tysiące.

Zaś inni zastanowili się chwilę, przyzwali przytomność i wnet ręce zatarli:

— *Auch ein Geschäft!*

Obliczono się wnet, co jest interes, co nie jest interes, i ten co wczoraj szalał z rozpaczy, że traci majątek, nieszczęście przeklinał, dziś— pełen otuchy. Bo już sobie umyślił milioner, okrutny alchemik, jak złoto wydobyć z tej walki wyzysku z rozpaczą.

On przecie pierwszy kupować wszystko nauczył, za zbrodnie płacić ludzi zaprawił, on pierwszy nawet na miłość cenę położył, pierw-

szy też z bólów, udręczeń, ze krwi, z łez ludzkich stworzył nowe źródło dochodu.

I posypały się szczodre na partye ofiary. Ten, co trzymał pozornie z narodem, socyalistów dążenia podniecał, słał burzycieli i złoto, byle współzawodnicze fabryki najdłużej w bezrobociu utrzymać, inny — robotników przyjaciel, szczuł swoich, obietnicami przez płatnych zdrajców tumanił, każdy strejk opłacał sowicie i pracował a liczył, aż wyprzedali ciążące fabrykom zapasy.

Wtedy — huzia — jedni na drugich, i polała się krew, a ci, którzy z jednym celem, z jedną myślą powstali, poczęli wzajem się targać, zaczem ciasno się stało w więzieniach, trzask za trzaskiem rozlegały się salwy.

Pierwsza operacya handlowa skończona, kolej przyszła na drugą, i padł wtedy — już z zagranicznego hotelu: lokaut — wyraz okrutny.

Blade oczy rozwarł robotnik — zrozumiał. Możnowładcy wysłali do porozumień ajenta. Głód mu było na imię.

I ustał robotnik, zaciśnięte pięści otworzył, gdy rąk jego czepiły się dzieci wybladłe.

Lecz nie ustało Złe miasto w podstępnej robocie. Nasycili się silni i spoczywają. — My, słabsi, chcemy się także pożywić. Czy to my gorsi?

I na odpływające fale rozszalałego żywiołu ciskają się mali, pragną raz jeszcze na miasto

je zwrócić, ale nic fal nie powstrzyma, nim dojdą do kresu, nim w moc nową urosną...

Bo takie prawo nad prawa, taka moc krzywdy tajemna, że zawsze powraca, jak morze.

Lecz, niestety, to krzywdy poznanie urodziło się tutaj w ciemnych, zasklepionych umysłach, potęga żalu zamroczyła jasność idei i ludzkie poczucie, a z cieniów myśli człowieczej wyłoniła się zbrodnia.

Okrutna, bezduszna, potworna, lecz wnet uświęca ją pieśń i hasła przedsiębiorców-przywódców, co myśl pustą stroją w mocne wyrazy, zwykły rabunek w pozór walki o prawa równości, podniecają pychę głupoty urokiem sprawiedliwości i władzy, aż głupi stanie się złym, ukrzywdzony zbójem krzywdzącym, zaś mądry kupiec-przywódca z krwi żyznej plon zbiera.

Jak świadczą zamknięte bilanse firmy *P. P. S.*

* * *

Gdzie nowy prąd myśli i nowe hasła, tam nowe cmentarze.

W lewo od ulicy, na nieużytku piasczystym, kędy rzadka brzózka, rozsypane krzaki, jak padło nasienie, tak wzrosły, rozległ się szeroko dziwny ten cmentarz. Cały jasny, słoneczny, barwie śmierci urąga, a po nim uklepane z piasku mogiłki. Ani krzyżów nad niemi, ani kwia-

tów, ani nawet zieleni, tylko mała tabliczka znaczy miejsce spoczynku.

Numer, nazwisko, i nic z westchnień, nic z żalów, próśb żadnych o protekcyjne modlitwy. I pustka. Przykra, jasna, zimna. I cisza. Nawet nie odzywa się ptak, zdaleka tylko głuchy odgłos miasta dochodzi. Czarny tuman dymów idzie od niego, nad cmentarzem się kładzie, zamiera.

Człowiek jakiś się zjawił, po grobach rozgląda, odczytuje tabliczki i klnie:

— Siostrę mi gdziesiś, psiekrwie, zadziały.

Jęknęły syreny w poblizkich fabrykach. Krótko, zjadliwie, a jedna żałośnie. Na cmentarz wysypały się ciemnego ludu gromadki. Ten i ów na deskach, u rozwartej czeluści grobowej, do obiadu zasiadł. Babina przyklękła u kopca.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... — nie bez zdziwienia.

— A gdzież tu, matko, mogiły tych pięciu?...

— Ze sierpnia?... Od dębowego krzyża na prawo, panoczku.

— Ze wsi jesteście?

— Nie, ja fabryczna.

— Ale skąd rodem?

— Toć mówię: z fabryki.

— A należycie do partyi?

— Niech je zła krew... wszystkie partyje...

— No, to Bóg zapłać.

— Z Bogiem, panoczku.

Na mogiłach „tych pięciu“ strzępy czerwonych wstęg. Blade, wypełzłe na słońcu. Przy nich składano wiązanki papierowych różyczek, deszcz zmył z nich barwę, wiatr róże zabrał, piasek jednak wchłonął plamy czerwone. Powiadali, że cud, bo to miała być krew.

— A kto głupi, w to wierzył... — uśmiecha się brat.

Trudna rozmowa. Złość, dawno w nim kipiąca, wezbrała i nic w myśli, prócz złości.

W blizkości krzyża kilkadziesiąt mogił, w ścisłych szeregach. Na nich, z czarnemi napisami, tabliczki:

„JÓZEF LEPALCZYK
20 lat
zginął od *kól*“.

„№ 214
SZCZEPAN PIWNICKI,
20 lat
Cześć“.

„WAWRZYNIEC PIĄTKOWSKI
18 lat. 1906 r.
Cześć bohaterowi, który zginął za sprawę“.

A dalej:

Antoni Gałązka, Kwiatkowski, Hrzanowski,

Król — znani, wybitni, zaś dalej już — tłum. Przy mogile mogiła, długie ich rzędy, aż pod płot czarny, gdzie świeżo wykopane jamy na swych wiecznych lokatorów czekają. Familijnych grobów tu niema, każdy jest sam, i dziwnie zapomniany jest każdy, choć sto tysięcy spadkobierców zostawił...

Ale twarde jest życie, więc nie smutna śmierć, i obca żałość tym, co zostają, a jeśli ból ściśnie za serce, spłynie na usta westchnieniem, wnet z przekleństwem się łączy, jak u tego, co mu siostrę „gdziesiś zadziali".

Odnalazł ją jednak, zdjął kurtę, złożył starannie i łopaty się jął.

— Toć trzeba trochę oporządzić biedaczkę, bo przyjdzie wiater, tę trochę piachu rozniesi e nie zostanie i ślad.

— Krzyż najlepiej postawić.

Spojrzał złemi oczyma, piasek ubija, odezwał się po chwili:

— A to panu powiem, że gdyby te wszystkie wasze krzyże poszły na opał, tobyście niejednemu człowiekowi ocalili życie.

I znowu po chwili:

— Krzyż, panie, namordował ludzi już dosyć, i lepiej zginąć od kuli, bo zawsze coś z tego... Dla tych, co po nim...

Mówił cichym, zmęczonym głosem, lecz jakaś groza szła od tego brata, ponura zaciętość.

I mylą się ci, co o przejednaniu na tle ekonomicznem prawią, bo żal sięga głębiej, wrósł w zwoje mózgowe, z każdego słowa przebija, czy to o życiu, czy o śmierci mowa.

— Jak psa cisną do jamy, a swoje flaczyska — w murowane groby.

— A toć gdyby była sprawiedliwość na świecie, czy tam gdzieś za światami, toby na tych wszystkich grobkach najpiękniejsze kwiaty porosły... Porosną, panie, czy nie? — zarzechotał złym śmiechem.

— To prawda, że smutny ten cmentarz.

Ożywił się nagle:

— Tego pan nie mów... Nie, nie, bo trzeba było widzieć, jak ich tu chowali. Głowa przy głowie, — tysiące, i wszystko nasi, aż serca, serca przyrosło, i nikt, panie, nie westchnął, ani jedna łza nie padła, bo twarde my ludzie. A kiedy, panie, trumny do dziury spuszczali, jak w ziemię wrósł każdy, strach wtedy od tej cichości — ale i radość, bo cichy człowiek mocniejszy.

A trzeba było widzieć, jak potem ruszyli na fabryki: — „Zamykać!" — i zrobili swoje... Nie wszystko...

— Bo mówią, że panowie macie wymagania zbyt wielkie.

— Tak, bo im więcej przyduszony jest czło-

wiek, tem więcej mu potrzeba powietrza. Byle czem nie odetchnie...

* * *

— Zatrzymać maszynę!

Na wentyl parowy nagle czarne ręce spadły, i jakby kto tętnicę ucisnął, do serca dopływ krwi zamknął.

Drgnęła, oddechu jej brak, sił resztkę tłok ciśnie... Coraz słabsze obroty. Opuścił się regulator, znak siły i życia.

Wnet bezwład padł na transmisye, po fabryce przeleciał. Maszyny, jakby pragną ginącą siłę do życia powołać, nadanym sobie rozpędem wydzierają ostatnie poruszenia głównego silnika, pasy prostują się, prężą, lecz daremne wysiłki niemocy, bo olbrzym osłabły — i chwila, a zamrze w bezruchu, a za nim tysiące.

Na lśniących wałach, polerowanych tarczach, jeszcze migają błyski, światełka. Wolniej i wolniej, aż nagle ustały, i patrzą martwe oczy na to, co się dzieje w fabryce o tej porze niezwykłej.

Znieruchomiało żwawe czółenko na tkackim warsztacie, klaszczące tekturki maszyny Jacquarda zmilkły w pracy nerwowej i zwisły. Zwolna od warsztatu odszedł robotnik.

I ucichły depczące folusze, kujące stępy,

zgrzeblarki, a obok wężowato wijący się płat białego towaru zastygł w zimnym swym blasku. Wózek selfaktora ustał w pół drogi, a wrzawliwe, warczące, niby bąki, wrzeciona zamarły, przy pracy ruchliwej — ostatnie.

— Wychodzić!

Po długiej chwili ciszy, po zastanowieniu myśli, która już od milczących maszyn odbiegła, począł się zgiełk. Wzmagał się, rósł, słabnął na krótko, gdy nasłuchiwano odgłosów z ulicy.

Na kurytarzach poczęły się kupić szare gromadki, coraz głośniej już radzą. Rej wiodą tkacze, pokrzykują wrzaskliwe szpinerki, że to spokój im zawsze niemiły, jak trzeźwość snowaczom. Pod ścianą, opodal, spokojne motaczki naradzają się szeptem, wzdycha konająca, przy taśmownicy, staruszka, trzęsie głową zgrzybiałą:

— Źle ludzie robita... Źle ludzie...

Kupa obcych wparła w korytarz.

— Wychodzić!

— Co? Dokąd? Dla czego?

— Wychodzić!

Przebiegli przez tkalnię, salę, gdzie samoprządy, mieszarka, wpadli do blichu:

— Wychodzić!

— Bójcie się Bogá, panowie, towar we chlorku, święto jest jutro...

— Nie szkodzi.

— I jakże tak maszynę zatrzymać odrazu, czasu nie było pasów zesunąć... Tysiące rubli stracone.

— Wytrzymacie, — nie szkodzi.

Zwolna pustoszeje fabryka, na podwórzach zbierają się małe gromadki, rozchodzą się, ale powoli, leniwie, i znowu się kupią.

— Więc jakże?

— A nijak.

— No, ale dlaczego?

— A licho ich wie.

— Toć podpisaliśmy zgodę we wtorek... A teraz?

— A cóż... Nową zgodę trzeba nam robić.

Tają jednak gromadki. Po dwóch, po trzech schodzą robotnicy, w ulicę. Ubywa ich po rogach. Ten naradzić się idzie, ów posłuchać, co mówią, zaś inny — coś wypić, bo życie — psiakrew — a im głębiej zasypia ulica, tem silniejszem życiem tętnią domy narożne.

Do każdego z nich przywarł żołnierz zziębnięty. Ręce wparł głęboko w rękawy i na murze zwisł. Oczy z latarni na oświetlone okna przenosi — i znów do latarni, a dobrze, gdy choć pies przejdzie, czy koń, wlokący po wybojach dorożkę. Nie miło tylko, gdy człowiek.

Huczą gwarem domy narożne, i pijane „hu—ha!“ z nich idzie, i „Przed Twe Ołtarze“,

przerywane wykrzyknikami przekleństw rosyjskich, a najgłośniejszy z wrzasków: — Burżujom śmierć!

Chwilami milkną gwary zupełnie, długa cisza nastaje, i nagle rozlega się pieśń złowroga, jak burza...

. . . .

A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew.

Niekiedy zakotłuje się coś w tym składzie „sędziów przyszłości“, w oświetlonych szybach zamigają ludzkie, czarne postacie — i krzesła wzniesione, wtem trzask jeden i drugi, potem łoskot, zawierucha, kłąb kurzu,—ratuj, biją naszych! — rozlega się okrzyk chrapliwy, i już po podłodze przewala się, jak potworny pająk, skłębiona masa:

— Puść! Pu-uść! — jęczy dławiony.

Wzdycha postać pod murem:

— Ot tobie służba! Tam sobie piją, bawią się ludzie, a ty stój, bracie, jak... ten kij.

* * *

— Ale nie możemy wyżyć...

— Ja na to nic nie poradzę. Mamy olbrzymie koszty, fabryka nic nie zarabia.

— Panie dyrektorze, drożyzna, niema spo-

sobu. Żeby choć pół rubla na rubel podwyżki, no i za strejk niech po dawnemu.

— Z czego?

— Z krwi naszej, z potu... Gdzież się podziewają pieniądze, które zapracowaliśmy?

— Ależ, zrozumcie, ja przecie także pracuję, ja doskonale rozumiem to wszystko, ale dziś to niemożebne, zaś przerywając robotę, wy sami sobie szkodzicie. Wracajcie do fabryki, ja o tem pomyślę, i co będzie można...

— Nie możemy wyżyć.

— Więc nie chcecie pracować?

— Chcemy, bo jakże inaczej?

— No, więc wracajcie.

— Nie możemy wyżyć... Niema sposobu...

— Więc nie chcecie?

— Chcemy, ale...

— No więc słuchajcie, ale ostatnie słowo. Dziesięć procent podwyżki, albo jutro fabryka stanie, na zawsze...

. . . .

— No, to niech... Zgoda?

— Niech będzie.

— No, to podpiszcie.

. . . .

A po tygodniu:

— Nie możemy wyżyć.

— Ja na to nic nie poradzę. Mamy olbrzymie koszty, fabryka nic nie zarabia.

— Panie dyrektorze, drożyzna, niema sposobu... My się zgodzilim, ale niema zgody, bo nowe wyszli proklamacye.

I tak jest co tydzień, a czasem dwa razy dziennie. I wszędzie tak jest... — i pan dyrektor bezradnie rozkłada ręce.

. . . .

— Ale czyż istotnie jest tak źle, jak panowie mówicie, jak piszą?...

Uśmiechnął się kierownik fabryki.

— Mam ochotę panu prawdę powiedzieć, — stać nas dziś na to. Otóż rok 1906-ty to złoty minął rok. Rzadki był popyt na bawełniane towary, magazyny wyprzedano zupełnie i niejeden się dźwignął z kłopotu, a że mniejsi upadli, to trudno, bo tak zawsze jest w walce.

— A robotnicy?

— I oni zyskali, ale trzeba było, tu i owdzie, pracować na dwie zmiany, aby podnieść o połowę wytwórczość, a obrót o 75%. To się kalkuluje wtedy, ale to nie jest dobrze i dla nich, gdy się pracę wyżej oblicza.

— Jakże to?

— Bo, proszę pana, jest w ekonomii takie żelazne prawo *Ricarda* — i ono mądrze powiada, że płaca robotnika powinna stanowić *minimum* kosztów jego utrzymania. Z chwilą, gdy

się płaca podnosi, psuje się rzecz, bo zaraz podaż pracy wzrasta i całe gromady ludzi ruszają do pracy fabrycznej i wtedy, co jasne, obniża się jej wartość, a czasem wprost — krach. A za krachem — głód, gdy wynagrodzenie zejdzie niżej sumy najniższej — koniecznej.

— A ileż potrzebuje robotnik, aby wyżyć?

— Akurat tyle, aby nie umrzeć. Inaczej zaś, to krzywda dla niego. Po ruchu zwyżkowym zawsze zniżka idzie, po roku obfitym lata chude zawsze, nim się znów jakoś unormuje płaca.

— Czyli, że dając robotnikom marne zarobki, wyświadczacie panowie im dobrodziejstwo?

— Tak... Do pewnego stopnia. I ja to zaraz panu wyliczę.

I wyliczył mi pan dyrektor, jak to, w szczęśliwe lata, gęsto rodzą się dzieci, ile to zużywa się mięsa, jak rosną wymagania, potrzeby, jak zjawia się upodobanie do zbytku, zaczem niechęć do pracy i wciąż nowe żądania, a o ileż to lepszy wzajemny stosunek, o ileż zdrowszy robotnik, gdy tylko zaspokaja pierwsze, najskromniejsze potrzeby.

— I nic, panie, nie rozumieją, że zwyżka to dla nich — nieszczęście.

— A dla panów?

— U nas kalkuluje się wszystko.

— Jednak przyznać pan musi, że było nieco wyzysku przez lata ostatnie.

— Gdzie wyzysk, tam zysk, a to jest cel i podstawa.

* * *

A gdy chłód zejdzie na miasto...

Pod parkanem wązkiej, czarnej, pluskającej błotem ulicy przesuwa się cień skulonego człowieka. Zatacza się, jak pijany, mokremi gałganami chrzęści, i dygocą mu usta, jakby się modlił. Łotr, czy nędzarz? — to takie blizkie, choć tak dalekie w pojęciach dobroczynnego społeczeństwa, pragnącego widzieć zawsze przy nędzy uczciwość, — ów zbytek, na który tylko dobrobyt pozwala — niekiedy.

Ani wiedzą, że człowiek w błocie grzęznący, pędzony chłodem i troską, bezlitośnie przez życie smagany, nie może być ani zły, ani dobry, bo jest przedewszystkiem zziębnięty i głodny.

Obejrzał się niespokojnie, podsunął do płotu, porwał za wystającą deskę i szarpnął, zgrzyt pobiegł w ciszę. Z drugiej strony ulicy trwogą zdławiony głos zadrgał:

— Mamo... tam złodziej...

— Tak, dziecko... Brzydko jest być złodziejem. Bozia się gniewa.

— No to... ja krzyknę, niech przyjdzie policya.

— Cóż cię, jakiś tam, płot żydowski obchodzi? A po drugie, nigdy się do cudzych interesów mieszać nie trzeba.

Głosy giną w przestrzeni ulicy i zalega cisza. Człowiek ukończył swą pracę, zdobył kawał deski zbutwiałej, zważył ją w ręku, uśmiechnął się:

— Z włamaniem... Kryminału trzy lata, na godzinę ciepła. Hej, los, psia wasza sprawiedliwość!...

Pod parkanem wązkiej, czarnej ulicy słania się postać tej — „nieuczciwej“. Na włosach czerwieni się jakiś łachmanek, spodem strzępy mokrych szmat przylegają do ciała, a w mózgu myśl jedna, drżąca do bólu: jeść. Głodna, bo — stara już jest i straszna. Twarz sina, obrzękła, pobita, wyrazem obłąkania skrzywiona, a w niej oczy ołowiane, mętne.

A kto tylko przejdzie, spojrzy na tę twarz bolesną, przez cierpienie ściętą, twardy wyraz jej rzuci.

Słania się postać kobieca, ręką wspiera o deski oślizgłe, zatrzymuje się nagle, cień przed nią wysunął się z mroków.

— Dawaj! — brzmi głos chrapliwy, trwogą uderza, ciśnie do ziemi.

— Nie mam, nikt się nie trafił... — wysunęła sine ręce wątłe, bezbronne.

— Dawaj... — głos szepcze.

— Nie bij... O Jezu!...

Nad pękiem drgających łachmanów pochylił się człowiek.

— Marychna! popatrz-no na mnie.

I całą siłą w twarz nogą, — kochanek.

* * *

Czarny wóz węglarski przewala się z głuchym zgrzytem, skrzypiący, po wybojach ulicy. Konie dobrze karmione, wyzyskane do ostatka, wyciągnęły szyje, rozdęły krwawe chrapy i, natężając krzyże, z nadzwierzęcym wysiłkiem wloką ciężar olbrzymi — ciepło, radość, pokusę, w czarne bryły zaklęte.

Chrapią wyczerpane zwierzęta, czarne, zimne błoto pluska z pod kopyt, zalewa oczy martwe, bolesne: to praca; z góry bat śmiga: zachęta.

— Bo czy to koń od człowieka je lepszy.

Nagle zatrzymały się koła, woz zakołysał i zaparł w wybojach. Szarpnęły konie, cofnęły z chomąt drżące, niespokojne i znowu cisnęły się naprzód, dobywając mocy ostatka — i znowu bezsilne...

Człowiek zszedł z góry, zaklął, bat w ręku odwrócił... Zakłębiła się para, wóz zgrzytnął, poruszył się.

— Wi-jo-ooo! oha-oo! — a bat tylko świszcze, z bólem się splata, ból zda się, że wyje,

a wtedy rozjusza się człowiek, zębami zwierzę by darł.

— Wi-jooo! podłe! — i biczyskiem w łeb wali, oślepia, kaleczy.

Obróciły się koła... Jakby ulga schodzi na myśli.

Z wierzchu spadło kilka brył węgla. Za wozem szept radosny je wita.

Jak głodne dzikie zwierzęta, jak zwierzęta chytre, ciągną za furą węglową chłopcy skostniali, obdarci. Czekają oni tej chwili upragnionej, kiedy spadnie dla nich z tego bogactwa dobrego losu ofiara.

— Jak ci pójdzie szczęśliwie, to i zbierzesz z pół korca, a nie — to do domu nie wracaj.

I między nimi, jak w świecie ludzi możnych a sytych, silniejszy słabszego z łupów okrada, inni okruchami się dzielą, a zbierają je skrzętnie,—do ścieków sięgają, bo tam zawsze coś można odnaleźć, byle się pozbyć pewnych uprzedzeń i wstrętów.

Bo wszystko jest czyste i dobre, i godne, na czem można zarobić: z tą zasadą idzie nie jeden możny fabrykant — dzielą ten pogląd ulicznicy-złodzieje i radzi z obfitej zdobyczy, śmieją się w tej chwili, szczęśliwi, żartują z ponurego furmana.

— Panie inzinier, niech-no pan jeszcze z razik tak furą potrząchnie i da nam z pół korca, na wypłat... — Biegną za wozem, czepiają się kół.

— Batem go, batem, panie mechanik!

* * *

O południu, na czarną, pluskającą błotem ulicę, jak grom, spadła wiadomość:

— Kopalnia Czeladź stanęła!

— *Dy Czeladz sztajt!.. Dy Czeladz sztajt...*— zaturkotał szwargot panów składników i wszczął się ruch, zamęt w czarnej ulicy, jak w brudnym kominie, gdy warem chluśnie kucharka w ciepłe zacisze robactwa.

Ruszył w miasto chybki pan Kupczyk, rozbiegli się Goldmanowie, pan Solnik i Majer, i Żmigrod, zaś Bracia Pstrągowscy uderzyli w telefon na alarm.

Jeden tylko pan Krausskopf trwał przed swoim składem w spokojnej zadumie i wysnuł myśl złotą:

— Niema tak złego interesu, któryby nie mógł być dobry.

Jakoż nie minęła godzina, a wszyscy już byli tej myśli, boć że Czeladź stanęła, to przecie tylko piękna sposobność do cen podniesienia.

Więc — *dy Czeladz sztajt* — Czeladź stanęła! — krzyk jeszcze większy, bo niech wiedzą klienci, jak to się stało niedobrze...

— I ja pana każę, weź pan sto korce, bo po-

tem i za pięcz korzec nie będzie... — mówi pan I. D. Cynamon.

„My jednak, bez względu na znaczne straty, ceniąc wysoce stosunek z Szanowną firmą W. Pana, ograniczamy się do minimalnej podwyżki, co niezawodnie, wobec spodziewanej różnicy cen, skłoni go do zakontraktowania znaczniejszej dostawy“... — pisze na Remingtonie — tak samo solidnej firmy właściciel.

I wzdycha pobożnie:

— Ciężką zimę daj Boże.

* * *

. . . .

A kędy olbrzym wznosił się ceglany,
Nagie, zczerniałe sterczą teraz ściany,
Tylko dym szary z mrocznej głębi zionie
I spalenizny unoszą się wonie,
I śnieg, w otwarte przenikając łono,
Stos czarny białą pokrywa oponą.

. . . .

I wiatr zimowy, przez noc, do świtania
W pyszne dzielnice zanosi zdaleka
Skargi i jęki, przekleństwa i łkania.

W przeciwstawieniu do chłodu, co troskę niesie ubogim, a rozpacz nędzarzom, ogień bywa dobrodziejem możnych. Niszczący żywioł poddał się tutaj ludzkim uczuciom, i — zmarniał, grozę klęski w sobie zatracił, stał się powolnem narzędziem, środkiem, jak inne, dobywającym ze śmierci, rozkładu, zniszczenia — moc, życie i władzę..

Środek ten, jak wiele innych, przewidziany przez odpowiedni paragraf kodeksu karnego, określa się jako podpalenie w celach osobistej korzyści, zaś w stopniowaniu przestępstw, jako pozbawiony wszelkich bohaterskich pierwiastków, stoi daleko za rabunkiem i zbrodnią— w oczach powołanych opryszków.

Wiadomo, że człowiek, uprawiający zawodowo jakiś proceder, posiada pewną szlachetność w odczuciu, wykonaniu swej pracy, czego nie zna amator.

Bywa najczęściej, że wypadek pożaru w Złem mieście nie jest wcale groźnem zjawiskiem, ani nawet poważnem, i stanowi jakby towarzyską zabawę. Gdy zabrzmią alarmowe sygnały, panowie fabrykanci przebierają się spiesznie w ochotniczej straży kostyumy, i — chwila, a dobre konie gnają już z nimi na tę maskaradę, gdzie zawiązują się nowe handlowe intrygi, rozstrzygają dawniejsze.

— Gdzie ogień? — ten i ów pyta.

— Ehremann i Tugend.

— Powinni byli się spalić już w zeszłym tygodniu...

Z łoskotem zajeżdżają wozy strażackie, sprawni, dzielni ochotnicy już przy robocie, zaś

kolega-fabrykant bystrem okiem tylko zmierzy płonący budynek, — już wie.

— Dobry interes... Netto czterdzieści...

Korci go jednak niepewność, a że i nauczyć się czegoś też można, do jednego z robotników się zwraca z zapytaniem:

— A skąd wyszedł ogień?

— Tak się widzi, że floki *) zapaliły się w beczce — i zaraz na magazyn padło.

— Aha... stary sztuk... — i już spokojny, spieszy z pomocą, a ratuje z zapałem, życie naraża. Wobec groźnego żywiołu pełen szlachetnych porywów, zdawałoby się, zapomina, że to płonie współzawodnicza fabryka.

A pogorzelec nieszczęsny:

— Poczekaj, poczekaj... I ja do ciebie przyjdę na ogień, nie dam ci się spalić spokojnie.

. . . .

Przed składem towarów łokciowych ciżba ludzi się zbiła. Z ożywieniem coś prawią, zadumali się inni, a ten i ów dom obchodzi wokoło, jakby coś węszy.

— Na cóż tu panowie czekają?

— To nic... Tu się jeden miał spalić.

I spalił się nazajutrz istotnie.

Bo wie się o tem w mieście zazwyczaj, a w pewnych sferach handlowych nie dziwi to

*) Bawełniane odpadki, napojone tłustością smarów.

nikogo, nie wzrusza, gdy się jednak zdarzy nieszczęśliwy wypadek, co znaczy, że niezręczny był sprawca, w sześciu miejscach dla pewności fabryczkę podpalił, lub w nieodpowiedniem miejscu znalazła się nafta czy pudełko zapałek zostawione w pośpiechu, wtedy wielkie zgorszenie i żal... do policyi.

. . . .

I tak już w mieście składają się pomyślnie przeznaczeń wyroki, że niech tylko ktoś nową fabrykę postawi, stara spali się wnet. A dziwnie wzgardliwie patrzy przechodzień, gdy człek nieświadomy na wieść o wypadku do niego się zwraca:

— Która fabryka?

— Pytanie!

* * *

Inne poczucia, odrębna moralność, obyczaje niezwykłe i ludzie odmienni.

Dumni, wyniośli i pyszni. Z czego? Dlaczego? — któż to odgadnie, boć przecie gdyby nawet zgromadziły się tu wszystkie zasługi, talenty, najdawniejsze rody, społeczeństwa sam kwiat—to komuż nie wiadomo, że im więcej wart człowiek, tem-ci skromniejszy, a szczery pan z rodu zazwyczaj nikomu w uprzejmości ubiedz się nie da. Nie ten kłania się pierwszy, kto

młodszy, podwładny, uboższy, tylko ten, kto grzeczniejszy.

Tu zaś takie wrażenie, jak gdyby ludzie, znając się dobrze, nie szanowali się wcale, a rzadki ten szef biura, czy właściciel fabryki, któryby na ukłon urzędnika zdjął z głowy kapelusz, a jednocześnie rzadki ten bogacz, któryby wprost się nie płaszczył przed władzą w mundurze.

Drobiazg to jest, ale dziwnie wyodrębniający miejscowe stosunki, a są one wogóle całkiem inne, niż wszędzie, gdzie przy wspólnej pracy kłębi się ludzkie mrowisko.

Obecnie padła klęska na miasto: bandytyzm. Romantyczna ta nazwa nie odnosi się zgoła do nowego zjawiska na tle wygórowanych żądań robotników, czy nędzy, gdyż zbójectwo trwa tutaj od lat, rośnie w siły i władzę właśnie w tych sferach, które, mając dobra najwięcej, żale swoje i utyskiwania wyrażają najgłośniej.

A przykład z brzegu:

Pan kamienicy, podwyższający komorne od trzydziestu do pięćdziesięciu procentów, zależnie od mniejszej lub większej konieczności zajmowania danego lokalu.

Owi jaśnie fabrykanci i ich ciemne sprawy, arcydzieła oszustwa, wprost genialne pomysły, — świetne przykłady, zapisane w pamięci, cytowane z lubością historye, jak się ktoś spalił

przemyślnie, jak zbankrutował mądrze. A nad wszystkiemi świetlane wspomnienie, gdy dziadek Izrael — nestor szwindlu łódzkiego, w nocki majowe kanał do głównej rury gazowej przekopał:

— *Mehr Licht!* — rzekł sobie jak Goethe, i okradał Towarzystwo gazowe.

I tysiąc podobnych — skądże więc duma, z czego — dlaczego?

* *

Przed laty osiedli tu Polacy i Niemcy, jeden trud ich jednoczył, dziś trudnoby orzec, jaki tu żywioł panuje poza tą mocą, co spętała ludzi w sieci wspólnych interesów, zacisnęła oka i szamotać się każe i dusić, z czem tutaj tak zwykli, że dobrze im tylko w tej walce i rozpętaniu złej, lecz niekiedy wprost genialnej twórczości, natchnionej przez Chciwość.

Lecz rosła powoli, aż nagle urosła masa, zwarta z cząstek spoistych, a jak jednolita! — Żydzi. Trzeźwi, nieulegli, chytrzy, jakim, niestety, powinien być naród.

Tworzą powoli nowe życia warunki, a choć drwią z nich Niemcy, a my pokrzykujemy wesoło, że nie zginęliśmy jeszcze (w czem coraz słabsza pociecha), oni postępują wciąż naprzód i prą, już silni samorodnym rozumem, sprytem

rozwagą i tą zgodną jednomyślnością, której uczy nieszczęście.

Zaś w czasie ostatnich trzech lat, gdy miastu nie przybyło ani jedno wrzeciono, ani jedno krośno, gdy współzawodnicza Moskwa o piątą część zwiększyła wytwórczość, gdy trwoga najmożniejszych ogarnia, zniechęca, Żydzi skupują place, fabryki, kapitały gromadzą, rosną w siły i władzę...

Polacy tymczasem, w myśl przysłowia o dwóch, co się kłócą, prowadzą wojnę z Niemcami, wspominają im chleb polski, pałace z krwawicy, jak gdyby to ich było zasługą, że przybysze ładem, zabiegliwością... i trzecim sposobem zdobyli majątki.

Ale jak to dziwnie zmieniają się czasy i ludzie. Gdy dzisiejszy milioner w dwa pieski podróżował skromnie i przybył do małej osady, z panem rajcą i łykiem zamożnym żył w zgodzie, a dziś, gdy ten i ów, z polskości coś przejął, a nasz pan brat od Niemców się czegoś nauczył, dziś — „plwają na siebie i żrą jedni drugich“.

Tedy może byłoby lepiej, aby nikt od Niemców polskiego języka, polskich obyczajów nie żądał, nie nalegał na wyzbycie się tego, co sam w sobie szanuje. Nie byłby może zmuszony po niemiecku prosić.

Bo trudno a smutno, zwłaszcza polskim panom, którym pół wieku w białym dworku zbiegło, piąć się po wysokich marmurowych schodach, na piętra pałaców i prosić o pracę.

Lżejsi są młodzi.

* * *

W południowej stronie długiej ulicy, wśród nizkich, skromnych domków, wznosi się gmach dwupiętrowy, ze zwierciadlanemi szybami okien, o drzwiach polerowanych, zdobnych w lśniące antaby. Przeładowany gipsaturą, karyatydami wspierającemi balkony, pokryty włoskim dachem, o balustradzie kutej misternie. Budynek, jakich tu coraz więcej, a w każdym z nich przemieszkuje właściciel fabryki, wstydliwie kryjącej się za frontowym pałacem.

Marmurowe, dywanowe schody wiodą z sieni na górę. Stoi tam szwajcar w galonach, lub stróż drzemie w kożuchu. Drzwi z napisem „*Comptoir*“, „kontora“, rzadko kantor lub biuro. Za niemi sala, podzielona na klatki, dębowe przepierzenia, oszklone matowemi szybami, przy biurkach panowie pięknie ubrani, o twarzach dziwnie pospolitych, bezmyślnych.

Cisza prawie kościelna, czasem tylko dźwięknie telefon, zgrzytnie prasa kopiowa, krótka dyspozycya z ust padnie.

W głębi sanktuaryum — kasa, a obok gabinet właściciela firmy.

Ten pracuje najciężej. O szóstej już jest na nogach, obiega wprowadzone w ruch maszyny, przed ósmą wypija naczynie kawy i schodzi do kantoru, gdzie liczy, podpisuje, przyjmuje interesantów, już do południa. Bez chwili odetchnienia, bez odpoczynku dla mózgu, po którym kołaczą się cyfry, mnożą, dzielą, dodają — niezmienne w swych prawach, nie znoszące kłamstwa, podstępów, pośredniczą w nich tylko i brzmią ciągle na ustach, kotłują w myślach, sercu żywiej bić każą...

Wprost pieści się niemi człowiek, wymawia z lubością, jak imię ukochanej. Drży niepokojem, obawia się zdrady, pożąda, zazdrości aż spala go ta jedyna namiętność, nigdy nie syta, pragnąca...

Płaczliwy, rozdzierający gwizd zwiastuje południe. Pióra ustają w biegu na kartach ksiąg wielkich, okutych. Pałąkowate plecy rozprostowują się, każdy z pracowników pośpiesznie chwyta kapelusz, i w minutę pustoszeje sala kantoru, w jednym tylko gabinecie właściciela rozlegają się głosy. Jakiś ajent, przybyły z zachodu, przekłada gospodarzowi korzyści wejścia z nim w stosunki handlowe. Mówi gwałtownie, z pośpiechem, chwilami gubi wyrazy, jak gdyby język jego, party siłą motoru, miał przepisaną ilość obrotów na minutę, jako że celem jest zgnębić, oszołomić słuchacza, cier-

pliwego nie zawsze. Oczywiście o bawełnie jest mowa, więc: — Taszkient, Erywań, Buchara, *Good Midling*, *Fully Midling*, prowizya, tratta ultimo, *à vista* i *franco*, i *loco*, *six penny*..— brzmią, warczą urywane wyrazy— i cisza na chwilę, i znów, z jeszcze większym zapałem i ogniem, jakby wyznania miłosne, zwierzenia, chwiejna niepewność, rozpaczliwe westchnienia, i znów jako fala...

Nareszcie jednak może odpocząć i on — posiadacz milionowego majątku.

I oto jest już w mieszkaniu, gdzie kilka salonów, ozdobionych bogactwem sztukateryi i złoceń, tworzy amfiladę, mogącą zaspokoić i książąt udzielnych, o ile ich wymagania, zbytkowe potrzeby, tapicer zadowolić jest w stanie.

Oto pierwszy salon w stylu „Empire“. Meble z mahoniu, gęsto bronzem zdobione, kryte jedwabną materyą o barwach spłowiałych, szafeczki, serwantki i słupy, a na nich bronzowe dęte odlewy, kolorowana terrakota gdzieniegdzie, kandelabry złociste, świeczniki na ścianach, a pod niemi ramki laubzegą wycięte, i przygnębiające nad kanapami „landszafty“

Szeroki otwór, niby drzwi, niby framuga, prowadzi do drugiej sali — balowej. Zimne, białe jej ściany, zdobne gipsaturą „rococo“, powleczoną całą siecią złotych linijek, punkci-

ków. Jaskrawe supraporty, sufit, do którego płasko przywarła trójka opasłych amorów w wieńcu łudząco papierowych kwiatów i blaszanych liści, a na siedmiobarwnej posadzce— meble Ludwika, pokryte złocistą, zieloną brokatelą w kwietne girlandy. Między oknami lustra białe, rzeźbione, złocone rzęsiście, takiż fortepian, a dołem szafirowy dywan się ściele, nad nim w wielkie czerwone róże secesyjne portyery, — aż ściska się serce, zimny dreszcz idzie po krzyżu.

Trzeci salon, to coś w rodzaju niemieckiego „Wohnzimmer“. Dębowe ławy, haftowanemi poduszkami kryte, na ścianach rogi jelenie, kordelasy, jakaś stara kapiszonówka, australijska tarcza, wypchana wiewiórka, dzbany na półkach, kufle z majoliki, a wyżej—w bogatych ramach, do srogiego tygrysa, pięknie ubrany pan strzela.

I jeszcze kilka pokojów, ale w nich wszystkie meble w pokrowce spowite, żyrandole i lustra osłonione gazą, dywany zwinięte zalegają pod ścianą, a cały ten przepych odświętny, galowy, całunem pokryty, ma coś w sobie ze śmierci.

Gdzież więc życie w tym domu, w którym się tylko gnębiącą ciszę kantoru odczuwa i grobowy smutek paradnych salonów, gdzie żyją, a podobno i bawią się ludzie?

A jakże, bo przecie bywają tu bale, przyjęcia i leje się piwo i wina kosztowne po wzorzystych materyach, i brzmią pani domu rozkazy:

— Lokaj, lokaj, — niech lokaj panu naleje jeszcze Pommera.

To jednak dla gości, bo niemiło gospodarstwu w tych blaskach przepychu, źle im się chodzi po lśniącej posadzce, nie w smak wino szumiące, przykro pani w gorsecie a panu we fraku, i jakże im błogo, gdy pychę nasycą i są już u siebie, gdzie pani, po indyku z truflami, po wymyślnych potrawach, sorbetach — smakowity sos powidłowy do wieprzowiny przyrządza, lub napełnia knedle śliwkami, i jeszcze chwila, a już zdjęła z rączek markizy, w pianie mydlanej zanurzyła ramiona...

— *So—o!* To dobrze robi... — odpoczywa przy praniu.

Całe życie rodzinne gdzieindziej się skupia. Gdzieś, na uboczu w parterowym domku, jakby zgubionym, wśród wyniosłych gmachów fabrycznych, lub w oficynie pałacu, gdzie dwa, trzy małe pokoiki i kuchnia w zupełności wystarczają rodzinie.

Dwie szafki „na bejc“, stół jesionowy owalny, kanapa kryta ceratą, nad nią krwawy zachód i bydło srokate, obok: „*Mann, ärgere deine Frau nicht*“ — „*Frau ärgere deinen Mann*

nicht", pięknie filozelą wyszyte, a wszędzie ład i porządek aż do śmieszności i nudy.

Każdy przedmiot posiada tam jakieś praktyczne dopełnienie. Każdy klucz, nawet każdy gałgan ma swój haczyk i często napis przeznaczenia Pełno serwet, serwetek, patarafek domowego wyrobu, kołpaki na lampach, jak napoleońskie bermyce, cała masa drobiazgów niewiadomego użytku, które, choć nie świadczą o wytwornym guście mieszkańców, wprowadzają jednak mdłe dusze prawie że w roztkliwienie, bo jakże tu czysto i miło, tak jakoś poczciwie, że ani wątpić nie można, że mieszkają tu dobrzy, zacni ludziska.

Tutaj, na obiad, właściciel firmy się zjawia, krótki to jednak spoczynek, bo nim minie godzina, już w kantorze jest pierwszy i znów chwyta go interesów koło zębate: przędza, terminy, gotówka, weksel, żyro, inkaso...

Zmrok idzie, a z nim odgłos syreny dzienną pracę zamyka. Z fabryki mrowie ludzkie się sypie, kantor opróżnia, każdy snuje jakieś projekty, rad biuro opuszcza, tylko nieszczęśliwy niewolnik, — a władca tylu setek ludzi, drżących na każde jego ręki skinienie, idzie na wieczerzę, znużony, jedenastogodzinną pracą rozbity.

Przy kolacyi, córeczka zwraca się do ojca nieśmiało:

— A możeby ojciec dziś do teatru? Nie byliśmy rok.

Patrzy na nią wyblakłemi oczami, ramionami porusza z niechęcią.

— Wam tylko w głowie głupstwa, zbytki, teatry... — i wkłada pantofle, skwapliwie podsunięte przez... żonę.

I oto kończy się dzień, i zamiera myśl.

* * *

Nie dziw, że wolny twórczy poryw w Złem mieście trudno w dzieło wykwita, otoczenie niszczy w zaraniu podnioślejsze dążenia, mroczy promień jaśniejszy, co przez Sztukę, przez jej moc niespożytą pragnie jednak przeniknąć cienie spraw ludzkich, myśl rozpromienić, jeśli nie ukochaniem, to choć zajęciem się, zastanowieniem nad książką, obrazem, czy utworem na scenie.

Daremne wysiłki, bo nie kwitną konwalie w czarnych czeluściach, na grzęzawisku nie ozwie się pieśń, a niech tutaj nawet Venus z Milo się zjawi, to ją wezmą za gips.

O ile nie pozna się Żyd, że to drogie jest. I nawet nie trzeba się dziwić, bo tu prosty lud. Garść zbogaconych wyrobników fabrycznych, z których pono niejeden nawet pisać nie umie. Przy nich ludzie fachowi, nawet zdolni w zakresie swych obowiązków, lecz poza tem—nic,

bo i czasu im brak, i wreszcie tak dobrze jak jest, wielu zaś adwokatom, doktorom, tym wszystkim, których surowa wiedza domaga się wytworniejszej kultury, tym czas zabierają albo poboczne interesy handlowe, albo też ducha potrzeby wypełnia niepokój fachowej zawiści.

I rzadki tu człowiek, który coś czuje, rozumie, a pospolity — ten drwiący z literatury i sztuki, drwiący z własnego nieuctwa:

— Nie zawróć pan w głowie. Na jakieś tam ideały my nie mamy tu czasu, ani ochoty, ani pieniędzy.

. . . .

Zdawałoby się, że teatr — widowisko ciekawe, często zrozumiałe dla wszystkich, zawsze przez szerokie warstwy pojęte, będzie mógł się tu ostać na długo, bo gdzież człowiek myśl rozerwie po pracy, jeśli wogóle mieszka w nim myśl.

Nie, nie, bo każdy za rubla miał inne żądania: ten chciał się śmiać, ów płakać, a tamtemu uwidziało się tak, że teatr powinien go uczyć.

— Bo przecie ją płacę...

Zaś gdy zmarły Wołowski zebrał zespół doskonałych artystów i dumny był ze swego teatru, o nim myślał i marzył, rzekł mu pewnego razu sztuk pięknych protektor:

— Tak, panie... Ale—aktorki... za drogie.

I tak wśród rozmaitych żalów, uwag, gło-

sów doradczych, wymówek, po roku, po dwóch teatr polski na polskiej ziemi, wśród dwustu tysięcy Polaków, zamyka podwoje.

Dlaczego?

— Bo źle prowadzony interes. Tyle razy upadał, ani razu się jeszcze nie spalił.

I może w tem słuszność, bo potrzebny teatrowi majątek. Ludzie tutejsi szanują jedynie pieniądze, i skoro tylko się zjawi dyrektor z posagiem, wnet publiczność się doń zwróci życzliwie, — uszanuje w sztuce kapitał.

I oto, po dziś, trwa w ciągłych troskach polski teatr w Złem mieście, bo niepotrzebny mu teatr.

Niepotrzebne mu nic, w czem choćby ślad wyzwolenia myśli ze spraw wzajemnego wyzysku, brzydkich spraw ludzkich, w tej walce o byt, stokroć okrutniejszej, niż wśród pożerających się zwierząt, bo ileż to środków ma człowiek do gnębienia swego gatunku.

*
* *

Jak mary dziwacznego kształtu, błąkające się przed oczami chorego na *delirium* człowieka, snują się kłęby dymu, zalegając podłużną, źle oświetloną izbę. Ściany do połowy zaszłe szaremi plamami wilgoci, wyraźnym obrysem odcinają się od reszty żółtego muru, ozdobionego gdzieniegdzie obrazem.

Ze starej rozbitej ramy wdzięczy się postać bachantki. Obok barwny sztab pułków pruskich trwa w zastanowieniu pod Paryżem, dalej mnich uśmiecha się do piwa, przy nim jakaś niemiecka życiowa przestroga i lustro ciemne, ponure.

Brudne szmaty ze śladami dawnej wspaniałości kolorowego kretonu wiszą u zabitych deskami okien, — jest ich rząd cały, pozbawionych przeznaczenia, bo słońce nie zjawia się tu nigdy.

Pełno krzeseł, stolików, wśród których błąka się echo rozbitego fortepianu. Mdły zapach piwa, wyziewy i wilgoć ciepłą stęchlizną poją piersi. Duszno. Dym w oczy gryzie. Pod zawisłym tuż nad głowami pułapem, tak zwani goście siedzą, piją, palą i krzyczą.

W głębi izby podwyższenie, ustrojone kolorową falbaną, to — scena na tle tyrolskiego krajobrazu, gdzie wybitne miejsce zajmuje rajski ptak, spoczywający na kępie kaktusów.

Spodem, na skalistej opoce, pasą się zające i krowy.

Obok sceny — fortepian, obok fortepianu — pan w okularach, a na pulpicie — nieodstępny kufel piwa.

Pan wstrząsa rzadką, płową czupryną, a umieściwszy przed sobą odpowiednie nuty, leniwym ruchem opuszcza chude ręce na

szczerbatą klawiaturę. W tempie krótkiego galopu na scenę wypada artystka. Pochyla się we wdzięcznym ogólnym dygu do publiczności i w osobno adresowanym do siedzącego tuż przy scenie skrofulicznego kantorzysty. Posyła zawrotne spojrzenie gdzieś w przestrzeń, rozchyla tłuste, czerwone usta i—śpiewa:

Chłopczyku, koteczku, nie mrugaj oczkami,
Mruganie to twoje...

Chłopczyk podchwytuje melodyę i nuci, uśmiechając się z miną łaskawego, bo zwycięskiego Don Juana, zebrani goście wydzwaniają takt nożami na szkle, biją pięściami po stole, a w kącie niepozorny człowieczek, blady, sponiewierany, jakby opluty, usiłuje wszystkich przekrzyczeć:

„Pre-cz, precz smutek wszelki!"

Artystka śpiewa *swoje*, a usiłując podnieść wrażenie pospolitej piosenki, podnosi przy każdej zwrotce i tak już dostatecznie krótką spódniczkę, ukazując z całem zaufaniem i dobrą wiarą ubogie kończyny dolne.

Refrain ten, doprowadzony do skali najwyższej, kończy pieśń o chłopczyku.

Tu i owdzie rozlega się rzadkie brawo, świadczy ono o gościnnem przyjęciu „numeru".

Śpiewaczka zjawia się na scenie, przesyła

garście pocałunków, wdzięczy się do kantorzysty i ginie w lesie tyrolskim, niby postrzelona antylopa.

Za chwilę ukazuje się z talerzykiem:

— Czy mogę prosić? *Ob ich bitten darf?* — zwraca się do widzów.

Ten i ów składa dziesiątki, inny zbywa tanim konceptem.

Na salę wybiega w podskokach druga artystka, biało-rozlewna, brzęcząca, jaskrawa, ubrana z krakowska—hiszpańska.

Rozlegają się szmerki podziwu, wyrazy szczerego uznania, nie bez westchnień i pożądania zdecydowanych wyrazów. Ktoś na ucztę zaprasza.

— Potem, potem... — po szpektakl...

— Ach, pani Polka? Bardzo przyjemnie. Nowakowski jestem...

— *Nee... Ich bin ne Französin.*

— Kiedy tak, no to — *vive la France* — piwka... — i usiłuje ją objąć młodzieniec.

— *Kameel!* — broni się Francuzka w macierzystym języku.

Przyjechała na „występy gościnne“ prawie z zagranicy — z Sosnowca, i za chwilę śpiewać będzie, tymczasem przechadza się po izbie, bada nastrój, przygląda zebranym, do ozdobniejszych krawatów uśmiecha, krzywi na wytarte surduty. Wietrzny jej ubiór rozprasza

smugi dymu — widać liczne towarzystwo, siedzące obok dwóch zastawionych stolików. Sześciu rozpartych, o wyraźnych cechach teutońskiego pochodzenia, idyotycznie wpatruje się w rzucane przez jednego z nich kostki.

W kompanii tej wybuchają co chwila gromkie śmiechy i milkną, gdy kubek do następnych rąk idzie.

Toczą się trzy kostki po kolorowym obrusie, śledzą je oczy, nastaje cisza, i znowu ryk śmiechu głuszy fortepian i śpiewy.

Grający, z wyrazu twarzy i rażąco prostego obejścia, czynią wrażenie zwykłych robotników, są to jednak sami panowie, możni obywatele miasta. Zna ich też każdy z nazwiska i czynów, zna ich całą działalność, nawet jeszcze z tych czasów, kiedy przewodzili tłumom, burzącym pierwsze parowe maszyny. Dziś — silni, syci, złocą opasłe brzuchy, a kosztowne pierścienie już im w palce wrosły. Niektórzy z nich mieszkają w stylowych pałacach, wszyscy jednak radzi oddychają powietrzem zadymionej knajpy.

Tu im raźniej i swojsko, tu po trudach dnia, po męce udawania i pozy dawna dusza odżywa, myśl snuje wspomnienia o tym pierwszym rublu wygranym, co się potem w dziesiątki, setki tysięcy rozplenił, a potem z bawełny i ognia narodził się — milion.

Poza możnym stolikiem grzmią wrzawą kółka uboższych, mniej znanych. Dalej zaś siedzą postacie o twarzach zbójeckich i łapach niedźwiedzich, groźne, ponure figury nocnych włóczęgów, co często — pozorni nędzarze, z łachmanów prują zaszyte pieniądze, przegrywają setki z uśmiechem ludzi spokojnych o jutro, bo wiedzą, że ze świeżą zbrodnią świeży dochód przyniesie. A na ustach mają jedności, równych praw idee.

I mienią się być potrzebni przy tem wielkiem ognisku pracy i walki. I prawda, bo dla każdego tutaj robota się znajdzie, jeżeli nie w ciężkim, dziennym trudzie bez słońca, to w cieniach nocy, kiedy krzyk mordowanego człowieka pusta ulica ponurem echem powtórzy i zamrze znów w ciszy złowrogiej.

Ten krzyk rozpaczy, ostatni krzyk życia, co dziś może jeszcze po zaułku przeleci, poprzedza tu cicha, szeptem prowadzona rozmowa:

— Ileż za taką robotę?

— Na śmierć?

Dreszcz kupującego przechodzi, bo przecie może jutro o jego życie targować się będą.

Pochyla się, szepcze doradczo:

— Toć przecie lepiej, żeby nie wydał...

— Na śmierć?

— Ileż pan ceni?

— Sto przed robotą, a potem...

— Także sto — dosyć?

— Mało, bo czasem twarde w nim życie, długa robota.

I targ o straszliwe *potem*—i skoczny dźwięk polki.

Z idącą nocą wzmaga się wrzawa w podłużnej izbie. Zjawiają się całe towarzystwa i giną gdzieś w dymu obłokach. Dziwne, tajemnicze postacie, których w dzień nigdy nie spotkasz. Bogactwo dokumentów życiowych. Zbytek i nędza, zbrodnia i praca.

Tu człowiek w strzępach, zabłocony, przypadł łakomie do wódki, tam ajent przyjmuje dla firmy zlecenia, a obok nieokreślonej barwy dwaj jegomoście szkicują plan wielkiej fabryki. Niepozorny człowieczek tłumaczy wypłowiałemu telegrafiście znaczenie prasy polskiej na świecie.

— Prasa — to prasa!... Rozumiesz naczelnik?

— Jeszczeby nie rozumieć...

A dalej, przy stoliku, farbiarz-magnat oburza się na usługującego:

— Kto tutaj mieszka, tutejszy chleb je, ten powinien rozumieć język niemiecki.

— Co takiego? — podskakuje niepozorny człowieczek. — Coś pan powiedział?

— Ja powiedział? Nic nie powiedział! —

kurczy się dusza, często zuchwała, zawsze tchórzliwa.

Na scenie pełna, wapnisto-biała dama z arkuszem nut w ręku usiłuje zagłuszyć smętną elegią rosnącą wrzawę. Przy głównym stoliku uderza znów grom śmiechu, pokrywa gwar panujący, i kona w nim nuta ostatnia rzewnej pieśni niemieckiej.

Schodzi ze sceny liryczna, zbliża się do stolika, gdzie pod opieką zwiędłej, suchej, lecz o płomiennych oczach jejmości dyrektorowej znajduje się szkatułka — kasa wpływów wieczornych. Mówi coś szeptem liryczna, tłumaczy się, usprawiedliwia, zabiera wreszcie talerzyk, po ofiary idzie, stara, zmęczona. Spotyka ją śmiech szyderczy, brutalne urąganie, — mieni się wtedy twarz zmięta, niezdolna już nawet i kłamać, zaciśnięte usta syczą obelgi, a w oczach łzy.

— *Bitte, Fräulein Rosa...* — zaprasza ją towarzyszka do stolika, gdzie nowo-złota młódź Złego miasta, synkowie bogaczy, potworki bez mózgów i serc, w jedno złoto wierzący, raczą przyjezdną divę winem szumiącem. Chwila— koleżanki porozumiewają się wzrokiem: — tu coś można zarobić, i — już łączy się sceniczna elegia z kantorową rapsodyą, — zbratały się dwie pieśni, fałszowany szampan strzelił wiwatem:

— *Hoch!*

— *Wer liebt kein Weib, kein Wein, kein Gesang* — i:

— Urra — Urr-ra! — dzikie, nieludzkie... *)

* * *

Tak żyją i bawią się Niemcy, lecz są tu jeszcze, jak wszędzie, Żydzi i my. Pierwsi wrażliwsi, często w duszach ich płonie, równie jednak są chciwi i więcej śmieszni, a choć sprawy swoje życiowe zamykają przed okiem ludzkiem starannie, jak chasydzi religijne obrządki, zdradza ich zwykle wrodzona próżność i pycha.

Żyd bogacz, w brudnym szynku nie trawi wieczorów, woli on teatr czy koncert; tam w chwilach znudzenia wydobywa notesik, oblicza, ile przedstawienie przyniosło i jakie są koszty, a potem wzgardliwie się uśmiecha, bo— to nie jest interes.

Mieszka w pałacu, często urządzonym wytwornie, bo i poczucie miewa za granicami zdobyte, ale rzadziej smak, i tam spędza siesty nie-

*) Obraz dawniejszego „kabaretu“ notuję, jako wspomnienie. W ostatnich latach zmieniło się w kierunku wiele na gorsze, wobec otoczenia zbytkiem tych przybytków sztuki stosowanej do upodobań niepewnego gatunku pewnej publiczności, lubującej się w ordynarnych produkcyach „momusowego“ typu.

dzielne z książką... telefonów w ręku. Odczytując firmy, odświeża wspomnienia znakomitych upadłości, nieszczęśliwych z ogniem wypadków, arcydzieł oszustwa i — kto żebrak, kto ma rozum, kto głupi i kto jest *coulant*, i kto, jak ten wiatr...

Jak człowiek spożywający ulubioną potrawę ze smakiem, zachwyca się, lubuje szef firmy tem, co brzydkie, co brudne, co wprost sprawia odrazę, ale gdzież prawda: co dobre, co złe? A zwłaszcza przy handlu, gdzie niema spraw nieuczciwych, są tylko dobre i złe interesy, jak mówi ktoś w jakiejś komedyi.

A my? Nic o nas, bo jesteśmy *przedewszystkiem* ubodzy, od spraw możnych zależni, ale kto z Bogiem, Bóg z nim — za ciężką krwawicę budujemy kościoły...

Jak za lat dawnych, gdy po dniach zarazy, wojny lub głodu stawiano Panu przybytki, aby gniew Jego przebłagać, tak i w czasach burzy dzisiejszej rosną świątynie.

Dobrze to czy źle—różne być mogą poglądy, to jednak pewna, że z niewiary, szczepionej przez nowe partye i starą nienawiść, a przenikającej już najmniej oświecone, a więc, jak u nas, najzdrowsze warstwy narodu, osiągnięto w następstwach znaczny kryminalny dorobek; zgodzi się zaś każdy z urządzających społeczeństwa nowe, że — lepszy głupi ze świeczką

w kościele, niż oświecony zbój z pałą, rozbijający po drogach.

Tak stosowanej oświaty już pono za dużo, cieszyć się też należy jasnym promieniem działalności tych, co w zrozumieniu, jak łączy się zdrowie duchowe z religią, a religia z polskością, zwracają swe myśli, troski, ofiary ku dobru wspólnych celów najdroższych, w które godzą, od stu lat, trzy wrogie siły i przez Żydów niesiona — kultura.

Nie z góry jednak, nie od możnych ten czyn idzie, nie chwiejny to czyn pański, lecz mocny w zespole pragnień cichych pracowników, — od nędznego przedmieścia dąży w miasto bogate. Bo najwięcej polskie, najściślej mocą wspólnych ideałów zwarte jest właśnie to ubogie przedmieście, gdzie tysiące robotników w grzęzawisku nędzy żydowskiej drży tęgiem życiem, wiarą, nadzieją, a czar wspomnień, dzieje ojczyste kochać ich uczą — i nienawidzieć.

I aż nie do wiary, bo tam, na tych kresach, gdzie zsyłano przestępców „na pobyt", gdzie mocą następstw gnieździła się zbrodnia, a znikczemnienie stało się wyrazem współznacznym zasługi, tam najwięcej modlą się ludzie, a jeśliby ktoś bluźnić wierze czy ojczyźnie zamyślił, wnet przywołają go do porządku twarde garście szewieckie.

Tam powstał pierwszy związek „sokołów"

(dziś już nie istniejący), z rzemieślników stworzony, tam najwięcej czytają i uczą się, tam wreszcie dla licznych wierzących ukończono niedawno budowę kaplicy pod wezwaniem Dobrego Pasterza.

Budynek zgrabny i lekki niezwykle, zdobny w koronkę polskich motywów, ciętą w modrzewiu, twórcą zaś artystycznym świątyni jest szczery Polak, p. Sokołowski, a szewc — kolatorem.

Jakże niepodobna to postać do naszych polityków-krzykaczy, z których każdy w zabiegliwej pieczy o dobro swych interesów, każdy w czem innem widzi szczęśliwe odrodzenie ojczyzny.

— Do jakiejże partyi pan majster należy?

— Ja, panie, do żadnej. Ja jestem chrześcijanin i Polak, po cóż to nazywać inaczej?

— Cóż pana skłoniło do podjęcia budowy kaplicy?

— Wiary, proszę pana, nam brak! Źli ludzie umysły tumanią, wiedzą, że u nas lud ciemny, więc jeszcze to światlo jedyne chcą mu wziąć z duszy, a jak człowiek jest w mroku zupełnie, tam pójdzie, gdzie poprowadzą.

— Piękna pańska zasługa...

— Nic, panie. Wreszcie — że to i dobrzy ludzie pomogli, klasztorek, jak dawne, mam zamiar postawić. Tymczasem dwóch ojców

przy kaplicy wystarczy, niech uczą, bo źle Polakowi bez wiary. Są takie narody, co żyją, pono, bez Boga, ale my— nie wyżyjem...

Mówi niewiele, jakby niepewny, z kim mówi. Cichy, spokojny, zda się udręczony troską, ale dobry i pewny i szczery ten szewcki gatunek, jak uczą wspomnienia, kiedy to majster tłum porwał za sobą, szedł na armaty.

— A dziś, proszę pana, trzeba inaczej...

Lecz inne zgoła, nie pokorne, nie uległe myśli w oczach jego czeladników płoną.

* *

Niedaleko kaplicy rozparł się budynek, całkiem odmienne sprawiający wrażenie. Szeroki, pękaty, jak olbrzymia forma kuchenna, brakiem poczucia swych twórców i przykrą surowością, jaka w nim mieszka, wprost przygnębiające sprawia wrażenie. I trudno zrazu rozpoznać, czy to halla targowa, czy jatki, czy jakaś stacya kolei, a może magazyn fabryczny.

— Co za budynek?

— Maryawitów kościół.

— A jacyż są oni?

— Ano, niby są dobrzy. Nic nie biorą za religijne posługi. Biedny może się teraz urodzić bez kłopotu dla ojca, bez kłopotu umiera, jeżeli do ich kościoła jest należący.

Sami ojcowie-maryawici, w sukniach ś-go

Franciszka, w sandałach, malownicze sprawiają wrażenie. Nie są to jednak cisi, pokorni asceci, braciszkowie twardej reguły, i nie pokój, lecz wojna jest w nich, jak w owych mnichach krzyżackich, co to znakiem świętym piersi znaczyli, a każdy miecz w ręku dzierżył, z nim przez życie szedł.

Wojowniczo też rozpoczęli swoją działalność, obecnie zaś, już pod opieką prawa, a rozporządzając znacznemi środkami, idą wciąż naprzód, a walczą siłą wyzysku ludzkich słabości. Bo przecie to ich wyrzeczenie się materyalnych korzyści, ta ich chwiejna zasada—pokusa, że „bracia nie mogą mieć stałych dochodów, ani też żądać zapłaty za religijne posługi, ani też brać pieniędzy za ofiarę Mszy świętej",— godzi w miejsce najsłabsze, więc — silna i zapewnia właśnie maryawitom takie korzyści, jakich nie dadzą żadne „pokładne", „podzwonne", chrzty, zapowiedzi, święcenia.

A psychologia całkiem jest prosta, bo: gdy nie masz dwóch złotych, bracie najmilejszy, daj kurę – jako że nie wzbronione przyjmowanie darów w naturze i wszelkiej dobrowolnej ofiary, zaś któż to nie wie, o ileż milej chłopu naszemu przynieść księdzu kradzionego zająca, a nawet własną kokoszkę, niż sięgnąć do węzełka po kilka miedziaków. Chwali też sobie kmiotek, że nie dzieje mu się krzywda, a b. ks. Skolimowski naucza:

— Nie chcemy, aby i u nas panował rozdźwięk między teoryą a czynem. My żyjemy tylko z jałmużny...

I oto z biednego kraju, gdzie brak środków na najpierwsze potrzeby, brak nawet pracy, której u wrogów chłop szuka, a kilku złotych żałuje na szkołę, gdzie jego syn nauczyłby się czytać i pisać po polsku – wyciśnięto już setki tysięcy tym mądrym sposobem. Zaś w czasach rozpaczliwego szamotania się nędzy i pracy z wszechwładnym kapitalizmem, kiedy dziś-jutro może zgasnąć jedyne w Polsce ognisko przemysłu, a nad radą wysila się ludzki rozum bezradny, zjawia się odszczepieńcza „nieustająca adoracya ubłagania, dająca ginącemu światu, jako ostatni ratunek, cześć Przenajświętszego Sakramentu i pomoc Maryi" *).

I gdzie walą się chłopskie zagrody, gdzie ziemia, biednie uprawiana, niszczeje, gdzie po latach troski i nędzy przyszedł rok pierwszy pomyślny i chłop odżył zaledwie, wznoszą się, za jego krwawicę, nowej wiary przybytki—kościoły sekciarskie, a myśl, żądną nauki, tumanią „nowe prawdy o cudownej pani Kozłow-

*) Tygodnik „Maryawita" № 1.

skiej i jej pośrednictwie w sprawach zbawienia".

. . . .

Maryawickie towarzystwo akcyjne posiada swój gmach. Na dole własny organ drukuje, na górze biblioteka, kancelarya, szereg pokojów. Rzadko piękny zbiór książek. I dawne, i nowe. Stare pergaminy i najświeższy twórczej pracy dorobek. I w klamrach białe XVII-go wieku oprawy, i „*La verità sul modernismo*".

Z dziwną, może nawet i szczerą miłością mówią o dzieciach, a ich ochronka — nawet dodatnie sprawia wrażenie. Kilkadziesiąt chłopców i dziewczyn do opiekuna się garnie i nic popłochu, nic strachu. Rozbawione, szczęśliwe, a na twarzach dorosłych radość promienna, ta wychowawców pogoda, harmonizująca przedziwnie ze śmiechem i gwarem młodego życia.

Więc zdawałoby się, że jednak oni... jednak ci maryawici... czynią to w trosce serdecznej o dobro... ale wnet przychodzi myśl czarna — i pierzcha wrażenie.

Protektorat rządowy, mateczka Kozłowska, złe, brzydkie sprawy pod osłoną wiarypoezyi i ten wyzysk, obłudnie jałmużną nazwany, i rozłam w biednym narodzie, ta dawna, odradzająca się klęska ..

Wróg, wróg! Zatem nie drwić, nie ośmieszać, ale światłem go zwalczać, — bo wnet ofia-

rami się staną ci apostołowie herezyi, wyklęci przez Kościół.

Prasa powinna poważnie wziąć tę sprawę do głowy i serca — i sprawę wyświetlić, jakie są istotne maryawitów pobudki, jakie są cele ich sekty, boć przecie te ich poufne zwierzenia, że jakoby księża zbyt uciskali swych wiernych, to pozór bez wagi, gdy odnośne barany i owce opłacają u maryawitów, właśnie, przyszłą szczęśliwość — w dwójnasób.

*
* *

Prasa spłynęła mi z pióra, więc o niej wspomnienie.

Przed laty dwudziestu był „Dziennik", dobre głowy przy nim stanęły i żywe serca. Trwał przez lat dziewięć, aż został „z powodów od redakcyi niezależnych" zamknięty.

Przez długie lata duch jego błąkał się nad ciemnościami, aż zjawił się p. Wiktor Czajewski i widział, że źle było, — ukazał światu prospekt „Rozwoju" i rzekł: niech się stanie światłość! — zaczem stworzył z niczego współpracowników i począł kusić gnuśne prenumeratory.

— Zaprawdę, powiadam wam, sprawiedliwy każdy, kto opłacił kwit.

Jak wreszcie czyni to każdy na świecie redaktor.

I oto, święcono już dziesięciolecie istnienia, lecz, niestety, nie dorósł „Rozwój" do wspomnień, z powodów niezależnych od siebie.

Bo dziwnie zmartwiałe jest tu społeczeństwo, rady, pomocy wśród niego nie znajdzie pisma kierownik, tylko złe uwagi krytyczne, a każdyby rad, aby jego interesom, jego poczuciom pismo służyło.

Trudne przeszedł dziennik początki, bo wnet i współzawodnik się zjawił, „Goniec" mu było na imię, ale ten całkiem nie dorósł zadania: prowadzony bez ładu, zmienny i chwiejny, dziś przyoblekł się w barwy niepolskie.

„Rozwój" na swem stanowisku pozostał. Jak zaczął, tak przetrwał lat dziesięć, a czy lepiej się działo, czy gorzej, zawsze szczerze polskiem był pismem, polskim sprawom służył jedynie, aż oczywiście poszedł za tak zły myśli kierunek do kozy, i wtedy dopiero odczuto, jak potrzebne jest pismo, gdy pisma zabrakło.

— Kiedyż wyjdzie nareszcie?

— We wtorek... we czwartek, a może za tydzień... — szeptał zgnębiony bezczynnością sekretarz, aż nagle dumny i władny, 57-u procentom tylko uległy dygnitarz od bufetu w tłum cisnął słowo czarowne:

— Nu...—zawtra.

Hosanna!

Czyta się tu wogóle niewiele, literatury

wogóle nie zna się żadnej, rozprawia się jednak chętnie o wszystkiem, zaś sroższych krytyków trudnoby znaleźć.

W odpowiedzi na nazwisko dzielnego pisarza łatwo usłyszeć: — Dla mnie—to nic! — Panienka, zapytana o Krasińskiego, odpowiada, że owszem, pragnie poznać pieśni poety. Ale w czytelni Fischera wprost rozchwytują nowości, a gdy rozległa się wieść, że umarł Wyspiański, ten i ów pytał:

— Cóż taki hałas? Cóż to za jeden, ja nic nie słyszałem... — I wprost obrażonym się czuje, że piszą i mówią o kimś, kogo on nie znał.

*
* *

Ze sztuk pięknych, jakie zapuściły wątłe korzonki na nieurodzajnej glebie przemysłowo-handlowego żywiołu, jedna jedyna architektura cieszyła się wyjątkową opieką miejscowych obywateli, lecz dziś, niestety, jej kapłani, choć tak dalecy od stworzenia w budownictwie złotego okresu, wyrzec się muszą złotych dochodów—na długo. I patrzą z żałością na ciche, puste place, bo nie buduje nikt, jako że nawet hipoteki dziewictwo, jej pierwszy numer, nie budzi już żądz, bo to „żaden interes jest".

Parę pałaców, mniej niż więcej gustownych, wystawionych przed dwudziestu laty przez

fabrykantów, wywołało pragnienie naśladownictwa tak namiętne, powszechne, że dziś miasto mogłoby się wyrzec z korzyścią wielu budynków, pragnących za pałace uchodzić. Czy jest w nich styl, czy odpowiadają one zewnętrznie lub wewnętrznie potrzebom swoich właścicieli, inna to rzecz, ale to pewna, że błyszczą szyfrowemi dachami, dziesiątkiem złoconych balkonów, budzą więc w dalszych szeregach obywateli zazdrosne pragnienie posiadania jeszcze bardziej błyszczącego, jeszcze więcej wygipsowanego pałacu czy domu.

Nic dziwnego, że wobec tego prądu popisywania się majątkiem, a przy sposobności i brakiem gustu, tworzywa tutejszych architektów, najczęściej pospolitych „*baumeister*'ów“, dalekie od stylu, lecz z ozdobami w rodzaju barocco, lub też jakiegoś niemieckiego renesansowego gotyku, te duże ciężkie domiska z czerwonej cegły, upstrzone majoliką lub pstrą malaturą, stanowią ciekawe dziwolągi dla ajenta-cudzoziemca, o ile poza wełną, bawełną coś jeszcze go w życiu obchodzi.

I dziwne to jest, bo są w Łodzi dwaj, trzej architekci wybitni, ludzie szczerego talentu i poczuć wytwornych, a i ci ulegają niekiedy wprost potwornym żądaniom tych, którzy płacą.

Rzeźba, ta młodsza architektury siostrzyca, równie ciężką jest dotknięta niemocą. Zeszedłszy na usługi kamieniarstwa lub sztukateryi, tworzy nagrobki kamienne lub gipsowe karyatydy, podpierające balkony lub wykusze tutejszych niby-pałaców. Zaledwie kilka grup, modelowanych przez zmarłego Wojtasiewicza, parę posągów dłuta p. Wąsowskiego, a w ostatnich czasach p. Urbanowskiego, wyróżnia się od rzemieślniczej roboty, gdzie nie tylko ani śladu polotu, architektonicznego związania całości, ale nawet niema wymiaru.

Malarstwo cokolwiek lepszej zażywało doli, bo wspierali je Żydzi. Jedyni to byli goście smutnej pamięci artystycznego salonu, w którym jednak zazwyczaj taka była pustki ponurość, że uciekał stamtąd właściciel, mówiąc, że na wystawie coś straszy. Na tak niepewne przedsięwzięcie pono znów ktoś się odważył, zaś kilku artystów barwnego kunsztu rozbiegło się po świecie, może za śladem swych jedynych klientów. Pozostało kilku zaledwie, a i ci nie jedwabne mają tu życie, słuchając dzikich na sztukę poglądów bez żadnej korzyści, bo chodzi o to jedynie, aby się nieco wygadać i splunąć od czasu do czasu na to, czego się nie zrozumie już nigdy, a co jednak niepokoi i gniewa.

Wierny miastu pozostał jeden z najpopularniejszych mieszkańców, stary malarz, doświadczony, sumienny pracownik z tych czasów,

kiedy to nie tak łatwo było zostać artystą, jak dzisiaj, gdy kurs malarstwa trwa równie długo, jak nauka jazdy na rowerze, poczem już wolno prawić od rzeczy o tem, czego zrozumienie życia całego wymaga, i wolno malować ku radości mamy i taty, a na umartwienie artysty, któremu po kolacyi pokazują te cuda.

— Niechże pan będzie łaskaw osądzić i na wykończenie zwróci uwagę.

Dobre były zrazy, panna jak anioł, malarz — człek grzeczny, — więc jakże?... a tu aż dreszcze idą po krzyżu na widok wymęczonego płótniska.

Poza tem, jak wszędzie, dyletantów, niedouczonych malarczyków — plaga.

Istnieje tutaj szkoła muzyczna, jest „Lutnia“ pod dzielnym wodzem, pierwsze, jedyne prawdziwie polskie stowarzyszenie w tem mieście, gdzie prą się z zawziętością wszędzie — obce a wrogie żywioły.

Wesoło też tam bywa i po polsku—huczno.

Prócz „Lutni“ — „Lira“, więc dzwoni śpiewem Złe miasto, i dobrze, bo może zgłuszy jęk nędzy złowrogi. A jęk to coraz głośniejszy, bo raz wraz wieść niesie telefon, że tu trzy dni, tam cztery na tydzień pracują fabryki, a ileż takich, gdzie wcale niema zajęcia ten dzisiaj już cichy, uległy, zbiedzony robotnik.

Pierwszy spazm głodu zdławił w nim krzyk nienawiści na długo, bo mocny jest głód.

* * *

A gdy pierwsze salwy zagrzechotały na ulicach miasta, a kilku ludzi zwinęło się w tłumie i, broczące krwią, darło sinemi rękami kamienie, jakby pragnąc uciekające życie zatrzymać, i czarne gromady cisnęły się w podwórza domów, o ile bram nie zaparto przed niemi, gdy konnica wtłoczyła się w żywy, zbity tłok ludzki, i zamigotały szable i spadły ciosy, a wrzask rozpaczliwy przeleciał miasto od krańca do krańca, wówczas cicha groza zeszła na myśli, a w duszach wyrosło pomsty pragnienie.

I poczęły się krwawe środy, krwawe soboty, aż w końcu pamięć ludzka przestała dni znaczyć, śmierć schodziła ze świtem, zachód zbrodnie obliczał, i powiadano, że piękny był dzień, gdy zgasło dziesięć żywotów, i radowała się noc w szynkach podziemnych.

W korytarzach, na schodach szpitalnych miejsca już brakło, a w zimnych kostnicach, z kłębu ciał trupich, pod pułap sztywne białe nogi się wzniosły, i lęk gnał stamtąd człowieka, gdy, wśród zimnej ciszy śmiertelnej, cichym jękiem odezwało się życie:

— Wody! Ratunku...

Biegł między żywych; o śmierć tam błagano:

— Dobijcie...

Ostry zapach karbolu, mdły, słodkawy odór krwi, uściski śmiertelne prężących się ramion, pożegnania rozpaczne, płacz dzieci, najstraszniejsze przekleństwa, a w tym chaosie, gdzie wszystkie ludzkie uczucia się zwarły, ksiądz błogosławi i szepcze: — Kochaj bliźniego...

Wpada garść ludzi w czarnych koszulach, w pasach szerokich. Z nimi kilka kobiet wyjących. Sale przebiegają, każdemu w twarz patrzą, rwą z głów bandaże.

— Ten? — Nie ten!

Nagle, nad człowiekiem, co twarz straszną, rozbitą ukrył w posłanie, wrzask radosny się rozległ. Buchnęły strzały, krwawą miazgą biały mózg trysnął.

— Pluj, Mańka, w tę mordę sobaczą!

I pochyla się dziewka publiczna, powołana do sądów i pomsty za zdradę. Pluje w twarz martwą.

* * *

Gęsto rozstawiono w mieście patrole, w ludzkie gromady prą konie kozackie, wężem nahaj się zwija, dragoni podnieśli karabiny gotowe, miarowym krokiem przeszła piechota. Lecz pusto i cicho na ulicy Łąkowej, tam, powiadają, nie pokaże się nikt, wie każdy, że tam czyha

śmierć. Przyczajona za węgłem, za płotem, szara śmierć — bez parady.

Przed bramami tylko ludu gromadki, patrzą ku miastu, coś radzą półgłosem, coś wiedzą, że coś ma się stać, lecz gdzie—nie wiadomo, i jak się to stanie—nikt nie wie. To pewna, że lada chwila fale powietrzne przyniosą zdaleka suchy trzask rewolwerów, a potem — metalicznym łoskotem salwa karabinów się ozwie.

Przyleciały odgłosy. Jakby garścią grochu ktoś cisnął i kilka ziarnek jeszcze dorzucił. Chwila oddechów zapartych, i zbiły się nagle gromadki, wchłonęły je domy. Okiennice spadły na okna, rzadki przechodzień cisnął się w boczną ulicę lub przywarł do płotu; przekupka, gubiąc jabłka w pośpiechu, w sutereny zapadła, zgrzytnęły bram odrzwia, stróż zaklął, głuchy stukot wrót zamykanych biegnie coraz głębiej w ulicę.

W ciszę i w pustkę wpadła piątka bojowa. Dwóch — dwóch, jeden za płot już chlusnął, i mgnienie — a i tamtych nie widać.

Mija martwej ciszy godzina, — rozlega się salwa. Równo, miarowo śmierć idzie i gra Pogotowie. Pod ogniem zbierają rannych lekarze. Ciężarna baba ciśnie fartuchem trzewia wydarte, z rozłupaną głową kurczy się dzieciak w rynsztoku, zwalił się koń, nogami wyrzuca i chrapie, a nad nim pobladły dorożkarz. Osza-

lały ze strachu człowiek ucieka, grzmi za nim pół roty, sypią się szyby.

Słania się Żyd stary, zbiedzony, siwa broda dygocze, oczy rozwarł, nic nie rozumie, kuli w piersiach nie czuje, lecz nagle przejął go ból, strach załopotał w mózgu, zsiniałe usta bełkoczą:

— Za co? Dlaczego?... Ja szedłem z Piątka na targ... Ja przecie tylko biedny Żyd jestem... — I już, jakby czarne, miękkie skrzydła myśl jego objęły.

. . . .

Na ulicy Wesołej, dozorca Hersz Karp wziął go w opiekę. W wielkiej izbie, gdzie obłąkani śmieją się, krzyczą, stary Żyd w kącie jakby skamieniał, błędnemi, zgasłemi oczyma gdzieś patrzy, nic nie wie, nie czuje, nie pragnie niczego, bo umarła w nim myśl, choć szybko poruszają się usta:

— Za co? Dlaczego?

A Hersz Karp, człowiek dobry, pochyla się nad nim.

— Za co i za co? Czy jest taki mądry cadyk na świecie, któryby wiedział, za co nieszczęście? Ale powiedz, mój stary, czy jak tybyś miał wielką fabrykę, co idzie dzień, noc, poszanowanie u ludzi, ładną, dobrą żonę, zdrowe dzieci, ale byłbyś sam złodziej, czy tybyś się pytał, za co ciebie szczęście spotkało?

Lecz nie odpowiada stary, nie rozumie nic. On przecie szedł sobie z Piątka na targ... On tylko biedny Żyd jest...

Opiekuje się biedakami Hersz Karp z ulicy Wesołej — i rad, gdy chory przytułek opuści, bo miejsce jedno jest znów, jedno na tych dziesięciu, co po ulicach błądzą, kamienowani codziennie, jakby za to, że już ludzkiej złości w nich niema.

— A któż leczy u pana?

— Do tej choroby niema doktora. Boska jest kara, Boskie wspomożenie. Tylko że jednemu może być lepiej, drugiemu jest źle, ale u nas same biedne waryaty są. A biedny człowiek to przecie jest nic, choćby nie wiem jaki rozum miał.

— Miasto bogate, — powinni wspierać przytułek.

— Niech oni żyją do sto dwadzieścia pięć lat, niech swoich interesów pilnują na zdrowie. Nasz biedny kahał sam zrobi, co może, bo tylko biedny do nieszczęścia ma głowę i serce.

. . . .

Bywały dni straszne. Dzień i noc, bez chwili odpoczynku, karetki Pogotowia na mieście. Po kilku do szpitala wiozły. Napadano na nie: ci chcieli odbić rannego, a inni dobić. Lekarz dawał pracy ofiarę nad siły, narażał życie. Wielu potrącano i lżono, ranę zyskał nie-

jeden, i oto dziś — pierwszy jasny promień, stowarzyszenie doraźnej pomocy — zamiera, środków mu brak...

— Bo to nie jest interes, a jak co nie jest interes, po co ma być?

— Dobro publiczne.

— *Wie heisst?*

* * *

Związki i związki, partye, rozłamy—tworzą je ludzie, a wszędzie brak ludzkiej podstawy. Każdyby szarpał i gryzł. Szczytna idea, głośne okrzyki: — Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! i chwila — pokusa, garść złota, i już kradną, każdy dla siebie, aż w końcu zdradzi ich jeden.

Osiemnastu ujęto. Ten esdek, ów były pepepes, a tamten z krwawej O. B. Dziś zwą się maksymaliści, a wszyscy rabunkiem się trudnią.

Ludzie młodzi, nawet nieletni, lecz między nimi i wybitne postacie kryminalnej zasługi.

Więc p. Antoni Kubiak, były sługus z zecerni, jako człek światły, bandę organizował i rozdzielał „robotę“, ale tak zawsze, aby wszystkich łączyło solidarnie przestępstwo. Ten pisał list z wymuszeniem, drugi stempel przyłożył, trzeci szedł po pieniądze. Obok arystokracya: pp. Marcin Szabudaj i Jan Kwiatek — mordercy, przy nich p. Bury, który nic nie wie za co, i p. Roch Puć, który wcale nie winien, tylko psie krwie — rodzice, i p. Nowacki, nie z takiej familii, aby miał kraść, a dalej młody, jasny chłopaczek z chabrowemi oczyma.

— Toś pan zabił dziewczynę?

— Tak... Jedną... Głupia była ona...

Opodal, osobno, drobna, zwinna figurka, młodzieniec jakby zawstydzony, że w tak złem towarzystwie. Pięknie ubrany, w zachowaniu wiele godności, rzekłbyś, buchalter z firmy solidnej.

— Ja jestem Feinblum — złodziej.

— I dawno pan kradnie?

— Czasu kawałek.

— Jakże pana złapali?

— Kolega mię zdradził, taki pan z pepeesów... — I porusza głową wzgardliwie w kierunku młodzieńca o jasnych puklach, zaczesanych na czoło.

— Dlaczegoż to pan... człowiek idei i czynu, kradzieżą się zajął?

— Mus, panie, był. W partyi źle szło, byli takie ludzie, co kradły, zmiarkowałem, że nie jest interes, więc na własną rezykę...

— No, ale dlaczegoż go pan zdradził?

— *Ostawtie*... — ktoś zwraca uwagę na niewłaściwość pytania.

— A czy wiecie, panowie, że niektórych śmierć czeka?

Chłop blady, rudawy, bez oka, zająkując się, mówił powoli:

— Ej, jakbyś pan bałandy w kreminale pojadł bez miesiąc, jakby pana bili bez drugi, tobyś też nie był taki chytry na życie.

— Dziękuję panom.

— My także dziękujem.

I ruszyli do więzienia z powrotem. Chód pewny, miny dobre, zuchwałe, czapy na bakier, tylko na twarzach ta smutna bladość więzienna, czarno podkrążone oczy, a w nich dziwna, bezmyślna tępość wyrazu. Martwe oczy — o czerwonych, mrugających powiekach.

* * *

U bram więzienia hasło:

— Połtawa, Piotr, popielnica.

Bo zawsze musi być miasto, imię i rzecz, i ta sama pierwsza litera.

Czworobok murów, kilku nieruchomych żołnierzy, na karabinach wspartych, górą ciemnoszafirowa głębia, blade gwiazdy w niej. Niżej, zamglonym blaskiem okna migoczą, idą od nich jakby szare, jasne opary, nad więziennem podwórzem zawisłe, i cicho — cicho, i coś jakby strach.

Zrzadka tylko dźwięknie kolba okuta, szybko

zadzwonią ostrogi, krótki rozkaz, wydany półgłosem, i oddalają się kroki. Czasem ktoś ziewnie żałośnie i zaklnie, jakby w tęsknocie matkę przyzywał.

I dziwnie, gdy do wielkiej izby otworzą drzwi sztabami okute, a gwar wesoły stamtąd uderzy. Coś jakby klub, w każdym razie towarzyskie zebranie. Przykry, ciepły oddech więzienia: dym, wódka, kwas jakiś i — ludzie.

Piją i palą, dźwięczy harmonia, tu i owdzie — gra w karty, czasem ktoś kogoś w twarz, czasem dziesięciu na jednego się rzuca.

Zgrzytnęły drzwi, ustają w jednej chwili zabawy, milkną przekleństwa, a po chwili zastanowienia: kto przyszedł i po co, — odzywają się skargi.

Kilku mówi o jednem, na jedno się godzą, że psie takie życie, że stęchła słonina, gorzki kapuśniak, że ktoś kolbą uderzył — i spać nie ma na czem, bo słoma starta na proch, oczy bolą od tego.

I ktoś nogą ściółkę poruszył, podniósł się tuman, zaćmił ludzkie postacie, a inny wnet, bez zachodu, coś niesie w palcach do światła.

— O... Jakie to... paśne... Nasze burżuje...

Zimno się robi, bo martwy jest każdy wyraz, puste wszystkie skargi wobec tych żywych pokazów.

— Za cóż panowie?

— Za bezpaszporty, a i politycznych jest paru.

— My właśnie... Za ekspropryacye...

— Z czegoż wywłaszczali panowie?

— Chusteczki do nosa, zegarki — bagatel... Nie każdy, proszę pana, może poczty rozbijać. My przez żadnych idejów, lud biedny, z dnia na dzień żyjący, dobrze to jedno, że nikt dzisiaj nie powie już — złodziej.

— Dlaczego?

— Bo tera wszyscy, p-szę pana, złodzieje na świecie.

Buchnęła śmiechem izba więzienna, aż zakołysały się dymu obłoki.

* * *

Dziwnej urody był człek. Głowa drobna i sucha, jakby tylko skórą pokryta. Dwie jamy głębokie, a w niej czarne oczy, osadzone daleko od siebie, bez blasku, drapieżne. Usta zawarte, jakby niemowne, do uśmiechu ból przywarł.

Szczupły, zwinny, jak kot, i nic jego uwagi nie ujdzie. Zastanawia go kamień na drodze, złamany płot, drzewa kawałek — dlaczego to leży, kiedy tego wczoraj nie było? Nie zajmują go tylko ludzie, tak się przynajmniej wydaje, bo nigdy na nich nie patrzy.

Nie rozumie, co strach, o zabójstwie mówi

ze wzgardliwym uśmiechem, lecz tak się wydaje, że swego życia nie oddałby tanio. Nie za jedną śmierć, nie za dwie, bo przecie więcej w magazynie jest kul.

Mówi niewiele, lecz lubi zdania mocne, porównania zuchwałe. Opowiada rzeczy ciekawe.

Gdy jeszcze był praktykantem w bojówce i dano mu rewolwer, aby nabrał sprawności, a przedewszystkiem oswoił się z bronią, palił go ten czarny, chłodny *brauning* w kieszeni. Rozpierało go poczucie władzy i siły, w mózgu dzwoniła myśl jedna, aż w końcu — zabił niewinnego człowieka. Ulżyło, ale rozpaczał, wreszcie jednak zrozumiał, że cóż to znaczy śmierć jedna, gdy potrzeba ich milion — dla dobra.

Z błaganiem o życie, widokiem krwi i szamotaniem śmiertelnem oswoił się prędko i dziś już idzie na zimno, bo czyż to ogrodnik się wzrusza, gdy mu wypadnie szkodliwy chwast wyrwać? Młodzi mają wadę ogólną, że zwykle nie dotrzymują ze strzałem: trzepnie zdaleka — i w nogi. Trzeba zawsze pamiętać, że cztery kule lepsze, niż dwie, dobrze czasem trupka nożem spróbować, bo robota powinna być czysta: gdzie stał, tam i padł, a zawsze niepewne dobijanie w szpitalu. Najlepsza broń — „parabellum“, cyngiel tylko nacisnąć: osiem razy wali, a brauning czasem lubi się zaciąć, to samo,

jak bomba, gdy nie wybuchnie. Wtedy złapią każdego, i wiadomy los.

Kiedy w partyi nie było jeszcze rozłamu, miasto miało czternaście dzielnic bojowych, z tych podmiejskie: Radogoszcz, Bałuty, Widzew. Dąbrówka i Brus, zaś miejskie: Wodna, Górna, Cmentarna i inne.

W każdej dzielnicy bojowej instruktor miał pod sobą pięć piątek, a każda składała się ze starszego, trzech zwykłych i ucznia. Poza tem starsi stanowili główną dzielnicową piątkę, ona to wykonywała wyroki partyjne, zaś na zwykłego szpicla szedł byle dzieciak — dla wprawy. O celu bojowej wycieczki wiedział zawsze tylko jeden, inni musieli mu być posłuszni, choćby skazany był ojciec czy brat.

Instruktor miał swoją „ochronę“; dzielne to były chłopy, każdy agent ich znał. Często minął się patrol z taką ochroną i — nic, tylko zadygotały bagnety, garść mocniej brauning objęła, a z oczów — jak skry...

W niektórych dzielnicach była także bojowa milicya; ci pilnowali ulicznego porządku — i porządek był.

Pod zarządem instruktora znajdował się skład broni, który przenoszono co dwa tygodnie, a w ostatnich czasach, gdy rozbiły się organizacye, dla bezpieczeństwą, trzeba to było robić codziennie.

Do przenoszenia najlepsze są baby, zaś która tęgiej piersi, a niech gorset niżej opuści, to ładuj choćby dziesięć składanych *mauser*'ów.

Baby, wogóle, okrutnie były zajadłe. One pierwsze podniosły ludzi do strejku, ale i opamiętały się też pierwsze, widząc przegraną. Przez nie pękło życie niejedno, bo jak zwisła u szyi, a w dzień i w noc: — Zabij i zabij! — to i szedł człowiek. Niejedna i cnotą skusiła, dotrzymała zawsze. Sama przyszła, powiedziała: — Bierz...

Sądy swoje też one miały. W pole taką szkodliwą zmaniły, tam ubranie z niej zdarły, szpikowały kulami. Umiały przejąć i hasło szpitalne, a wtedy niejedna szła z nożem...

Źle tylko, że już bardzo zawzięte, z trupem się bawią, i trudno oderwać, jak się pazurami wczepi. I taka w nich sroga zaciętość, że jak krew raz zobaczy, to potem i kochanka, jak pies, drze zębami, byle krew mieć. Powiada, że słodka.

One najwięcej znosiły dynamit, — choć to śmiertelna robota, i nie każdy do niej się brał. Dziś to ustało, że bieda, a drogi materyał i niepewny skutek. Po dwieście rubli bomby bywały, samego „nasienia“ szło w nią dwadzieścia funtów. Pewniejsza sztyftowa i tańsza, a wreszcie — jak komu do gustu, bo są tacy, co tylko

fiński nóż sobie chwalą. Wszystko jednak jest dobre, od czego śmierć, bo to siła jedyna i rada.

. . . .

Straszny człek pija wódkę i wiele, gdy niema „roboty“. Ożywia się wtedy i oczy mu płoną. O żółtych blaskach złe oczy... Kipiąca w duszy nienawiść z pianą schodzi na usta, biale kły świecą.

— Bo panowie wcale ich nie znacie,—przez to głupstwa w gazetach, a każdy to pisze, co mu powie fabrykant i jak jemu właśnie potrzeba. Powiadacie, że dosyć podwyżki, że przemysł upada, a czy to wy wiecie, że on, taki syn, przecie nawet na tem swojem dobrodziejstwie zarabia. Da trzydzieści procent robocie, sam pięćdziesiąt musi mieć, bo zaraz mniej nici w osnowie, blat zmieni na rzadszy, tryb zrobi większy, wątku mniej wyda, a w końcu, gdzie może, na sztuce to ćwierć, to pół arszyna ukradnie.

Toć my na to patrzymy, toć dzisiaj rozumie się wszystko i my wiemy, czego żądać można, ale kłamstwo nas szarpie.

I to panu mówię, że nie będzie porządku, póki ich połowa nie padnie...

I padnie... A jeżeli nie ja, to moje dzieci będą ich pruć.

I w końcu przyjdzie ten czas, że i nad naszem czarnem życiem zorza rozbłyśnie.

*
* *

Z objęć nocy wysuwa się leniwie świt, rozchylają się zwolna zasłony chmur ciemnych, jasność schodzi na ziemię.

Poszarpaną przez wyboje drogą sunie ciemna, ludzka masa. Nad nią światła się palą, zawisłe na ostrzach bagnetów. Spodem, gdzie czarno, błoto pluska z pod stóp, lecz w głowach ludzi myśl jasna, dzwonna, paląca: idą na śmierć.

Niedaleka droga ostatnia, ostatni świt blizki, lecz spieszą ludzie. Gna ich promienista nadzieja, że tam, u kresu, czeka łaska — katorga.

Już weszli w las, chłodna świeżość poi piersi spragnione, czar lasów i pól. Myśl udręczoną witają wspomnienia...

Żyć!... Żyć!...

Głębiej—już ich mrok objął, po oślizgłych mchach idą, ugina się ziemia rozmokła, ktoś potknął się, upadł, — ktoś zadrwił. Głos ludzki zbudził otuchę.

Tak, tak, to na postrach tylko, a potem podróż, kraj inny, i odbyta kara, i radość, i spokój, a potem dobrobyt, powrót do swoich... Obraz za obrazem poddaje myślom dobra nadzieja, i prześciga ją myśl, snuje marzenia:

A może wolność?

A może cud?

— Sto-ooj! — Dech zamarł i ustały serca.

Spowiedź. Potem długie, śmiertelne koszu-

le na głowę. Światło już zgasło, w myślach trwa jeszcze, a słuch wytężony każdy szmer chwyta. Nagle szczęk broni, spazm dławi za gardła.

Żyć!... Żyć!...

Grzmot poszedł po lesie, rozsypał się w drobne odgłosy.

Czemuś stało się zadość.

. . . .

Świeże mogiły, jeszcze ciepłe, jak powiada grabarz. Stara babina o drzewo się wsparła, szczęka jej lata, głowa jakby się śpieszy, a oczy—jakby umarłe. Na zrytym piasku rozciągnięta dziewczyna, coś kotłuje się w niej. Druga — nieruchoma, jak głaz, a człowiek jakiś śladów szuka na drzewach.

Sosny—z kory odarte, potrzaskane przez kule. Gdzieniegdzie rany stare, zakrzepłe, żywicą zaszłe, i plamy czarne na nagiej bieli. Na drzewach jakieś kolorowe obrazki, zdarte przez kule.

„Pod Twoją obronę“...

Wolne słońce w całej pełni już wzeszło. Na korony sosen złotym blaskiem spływa, budzi życie i radość.

Ćwierkają ptaki, i szumi las.

Z SIERPNIOWYCH DNI.

I.

U zbiegu alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej, gdzie na białej płaszczyźnie czarną mocą Warschau - Hauptbahnhof się znaczy, od świtu wczesnego krętym wężem uwija się szary tłum polski.

Węzły z pościelą, kufry, tłomoki, ubogi ludzki dobytek, a górą zrzadka błyskają noże bagnetów. Młodzieńczy milicjant kogucim głosikiem a z wielką zachowania powagą przestrzega publiczność, spór ostry gdzieniegdzie jakby nagłym płomieniem wybucha, iskrami ciętych wyrazów już pryska, a tuż głos obcy, przenikliwy, dźwięknie jak stal, i kłótnia zamiera w pół słowa, i jakby sercem do serca mocniej zewrze się tłum, w jednem zakołysze westchnieniu...

A serce przy sercu, każde innym żalem przebrane, w każdej myśli dzwoni inny niepokój: matka, dzieci, majątek; tam chata niewidziana od roku, tam chwila szczęścia ledwo dwa serca w przededniu złączyła, już spłoszył ją świt; tam granat pękł w domu, a człowiek oszalały ze

strachu biegł nocą, aż oprzytomniał, zrozumiał, że nic mu po życiu, gdy wszystko co drogie i blizkie za sobą zostawił.

Ktoś życia całego dorobek porzucił — sklepik w małej mieścinie — świata za nią nie widział i widzieć nie pragnął; inny, w kłębach czarnego dymu w ciżbę ludzką zaparty, ani mógł spojrzeć za siebie; a tuż obok wyschła, ciemna jak wiór leśny staruszka, w czarnych, pokrzywionych palcach przesuwa gładkie ziarna różańca.

— Dokądże, matko, jedziecie?

Jakby suchem listowiem zaszumiała drzewina:

— Do dziecków ja, panie. Cały rok nie widziała, aż się już we mnie serce z tej żałości zapiekło.

— A papier macie, że wolno?

Spojrzała zdziwionemi oczyma i jakby się boczy od takiego człowieka, co żąda papieru na matczyne kochanie.

A druga — na świecie niema nikogo, nic nie winowata nikomu, a jedzie — skonać, kajniebądź w chałupie, bo strach zamrzeć w kamienicy, wysoko.

I coś tam jeszcze prawi o skrzynce zielonej, co u Kwiatkowskich ostała, a było w niej całe obleczenie do trumny i w szmatach różności.

— Szmata szmacie nierówna; dobre były, nie tanie.

Zaś czarna paniusia w koronkowem na głowie „ubranku“, czerwonem zdrowiem przebrana, patrzy z wysoka na ubogi, w troskach pobladły, umęczony lud.

— Człowiek jedzie bo musi, ale po co to-to tłoczy się wszystko?

Nagle głos obcy:

— Nazad! — jakby ostrzem żgnie w tłum.

A wszystkie rozmyślania i żale już na samo dno duszy zapadły, w cichości i trwodze.

Zakołysał, cofnął się wąż, a od głowy oderwała się mała gromadka, ściskająca w garściach — przepustki.

— Marrsz!

* * *

Są dusze, w których, ponad wszystkie zalety myśli i serca, wyrósł zimny ład maszynowy, a ścisła punktualność nazywa się cnotą; są dusze jeszcze uboższe, które owa tępa bezmyślność, znacząca klucz każdy i ścierkę odpowiednim napisem — olśniewa.

— Bo to, panie, porządek! ład, panie, angielski!

I choć głos w ścisku zdławiony, niemniej przejęty wzruszeniem, że oto pociąg, co do mi-

nuty, o czasie wskazanym odchodzi. Godziny udręczenia już zbiegły z pamięci.

Wnet serca żywiej zatłukły, jakby prąd szczęścia idzie przez natłoczone wagony: już śmieją się oczy radosne do pierwszych za miastem poletek, a myśl wydziera się dalej, do chat własnych i ludzi kochanych.

— Nareszcie!

I z jakąś dziwnie wdzięczną, serdeczną uległością znosi się wszystko co przykre, ów ścisk rozpaczliwy, spadające na głowę tłomoki, oddech gorący z przepojonej jarzynowym zapachem brodatej twarzy sąsiada, i twarde ludzkie łokcie, tłoczące się w stronę najmniejszego oporu płci słabej, ale obfitej, i nogi nieczułe na bolesne wzywania. A gdy chwilami wydrze się głos zapartej w beznamiętne, choć gorące uściski jejmości:

— Przecież to trzeba do gazet! Za granicą, mój Boże, są inne porządki... — śmiech głośny uderzy w pani tęsknotę...

— A toć zagranica, paniusiu.

Ale nie do śmiechu już ludziom, gdy z zielonych poletek, z podmiejskich ogrodów oczy głębiej zanurzą się w przestrzeń, a serca -- złe przeczucie ogarnie, gdy coraz szerzej przed niknącym pociągiem martwe pustkowie, coraz gęściej okna wydarte i smutek czarnych kominów. Już przed oczami przesunął się Pruszków z długim

szeregiem dawnych kolejowych warsztatów, tchnących martwotą przez okna bez blasku i życia, gdzie tak jeszcze niedawno dzwoniła praca dźwiękiem żelaza, prężyły się ręce i huczał głos ludzki. Zaś obok, jakby szyderstwo, trwa bez śladu zniszczenia wśród chat rumowiska, dawnych dworów zgliszcz, dziwnie brzydki budynek biur kolejowych. Nowy, czerwony, fałszowany z gotycka, trwa, silny niespożytym oporem zimnej, bezdusznej pospolitości, jakby drwił ze wszystkiego, co dawne i szare, w czem żywe serce ludzkiego kochania biło przez wiek, póki nie przyszedł straszny rok wojny. Przyszedł i zniszczył, niby chytry polityk, przedewszystkiem drogie polskiej duszy wspomnienia, zaczem jął się rabunku ledwie poczętych, ubogich dorobków, bo tak się przyszłość narodu zabija...

Ani w nią spojrzyć, ani nad czem zamarzyć, bo trudno myśli człowieczej wznieść się jasnym promieniem dobrej nadziei nad czarność zniszczenia, którą Polski obrońca za sobą zostawił, a po nim nowe życie wzięło serce narodu w twarde, bezlitosne ręce.

Lecz oto już pola słoneczne za oknami biegną, ulga schodzi na myśli i już uczy mądra przyroda, że niema zagłady, gdy ziemia została, a w niej źródła żywnej mocy zaklęte. Oto poczerniałe snopy leżą martwemi zwałami, a pod nimi ziarna już wzeszły i młoda, jasna ruń bu-

ja; oto dawny dwór pański rozbity, a przy nim topola — jedno życie, ostatnie ze zdartą koroną zostało. Jakże udręczone, lecz jak Męka górne i już mocą cudowną kipiące—w pędach strzelistych, w świeżem, soczystem listowiu.

* * *

Przed oknami pociągu przesuwa się Brwinów, zgoła bez wyrazu podmiejskie siedlisko, ocalałe bez krzywdy widocznej. Za nim Grudów, Nowawieś, Zalesie: szerokim pasem legło tutaj zniszczenie, strachem złości objętej, a tuż Milanówek, biały, słoneczny, zawsze jakby z martwym uśmiechem, co przywarł do tych domków świeżych, zalotnych, i nie schodził z nich nigdy, jak z ust głupiej dziewczyny, w szczęście swoje wierzącej.

A dalej, na murach zżartych płomieniem — stare Grodzisko, książąt mazowieckich letnia siedziba. Czarność i pustka—tylko napis na zniszczonym budynku stacyjnym, świeży, dzisiejszy. Obcy dawnym wspomnieniom — Grodisk żałobnie się znaczy.

Długa chwila postoju, lud krąży ciekawie, do wagonów zagląda, każdy radby się czegoś dopytać — co słychać, a jeśli nic się nie dowie, to sam jakąś nowinę wymyśli, że ktoś tam już idzie, że dziś, jutro coś się tam stanie, że pańska ziemia pójdzie na działy, a w każdym lesie — „serwietut". Ale jakoś, jakby coś za plecami, strach — nie strach, ale nieswojo. Zaś któż-to bez grzechu...

— Brali wszyscy, ja brałem.

Lecz to najgroźniejsze, co życie niesie nowego: obwieszczenia, czarno-białe tablice. Przy nich chłop staje stroskany.

— Kiej nie poradzę, kiej nic tutaj nie pojmę, a tu może za słupem śmierć stoi.

— Nie chodźta.

— Kiej do chałupy mi potrza.

— Do czyjej? Małoście jeszcze dobra zebrali?

— Brali wszyscy, ja brałem.

I w zamyśleniu drapieżny chłop krąży, medytuje co wolno, a czego niewolno, i czy to aby za nim, jak dawniej, prawo ostanie; aż dopiero pod wieczór, w poufnej gawędzie, gdy duszę ogarnie wątpliwość, ulży sobie, rznie czapą o ziemię:

— Kumitety — psiekrwie, polskie panowie!

* * *

Dawne włości guzowskie, stacya — Shirardow, gdzie rozdarta fabryka, a z niej wywalone wnętrzności. Jakby w męce ogniowej skręcone belki żelazne, strzępy kotłów fabrycznych w lotnem popielisku. Koła zębate, co się z sobą zwarły, jakby dwie bestye na śmierć zmagające się,

rdzą świeżą, czerwoną ociekłe, całe stosy splątanych lin, szmat czarnych i blachy, bale ogniem przeżarte, i dziwne jak z bajki, martwe, ciężkie kadłuby, a nad nimi wije się czad, i tysiąc okien fabryki — oczów grozą rozwartych.

I dzieci wianuszek, spleciony za ręce:

— Budujemy mosty dla pana starosty...

I długo jeszcze trwają w pamięci, jakby wparły się w mózg, czarne, złowieszcze okna spalonej fabryki, a smutny przez nie widzi się świat.

Lecz oto inna już sława, wczoraj ledwie z krwi męki wyrosła, przysłania wrażenie. Przez szare pola nad Rawką biegną już oczy, myśl je wyprzedza, widzi rzeczy dalekie: plon z krwi ludzkiej zebrany — świetne kwiaty wolności i, jak wody bezkresne, szare ludzkie gromady, wzywające — chleba!

Nie urodzą go pola nad Rawką, gdzie od ziemi wypalonej, zdartej, ciemnemi czeluściami zrytej, cisza śmierci aż po niebo jasne legła. Gdzie na martwych ugorach nie zakołysze się kępa traw suchych, nie pochyli kiść, bo nie przemyka tu życie, trującym powiewem zduszone. Martwe stoją kępy rokity i naga olszyna, polskich wód straż, z kory odarta, krwawem ciałem świeci, ognistymi biczami pocięta.

Zrzadka ślad chaty; czasem tylko ciemna linia wyżartych opłotków ją znaczy, po rudoczarnej kępie drzew poznać ją można, gdzie była, a dalej za rzeką las — leży. Za nim niemowny, bolesny — Bolimów i krwawa żałość polskich przeznaczeń — Mogiły.

* * *

Nagle z zamyślenia ostry głos budzi:

— Skierniewic — wysiadać!

— Dlaczego?

— Niema — dlaczego! Kazano — wysiadać!

— Ale jednak... właściwie... bo przecie... dlaczego?... — Lecz to już tylko z własną duszą rozmowa i wniosek, że punktualność wyjazdu nie zawsze jest miarą choćby w przybliżeniu określonej chwili przybycia — jednem słowem noc w Skierniewicach z biletem do Łodzi.

Miasteczko zamarło, nagłym strachem zdjęte. Szare, brudne i smutne. Tylko na węgłach starych kamienic kolorowe „obwieszczenia“ się znaczą. Czerwono, niebiesko: *Stanisław Nawrocki*, muzykant, *Andrzej Szymczak* za posiadanie i t. d., a tuż za szpiegostwo — nieszczęsny *Lajbuś Cytryner* zielono.

— *Wus is* a szpiegostwo?

— To jest żaden interes.

I westchnienie żałości poruszy brodami i rozchodzą się kupcy, a ze świeżej u węgła gromadki półradosny, zdziwiony głos leci:

— Patrzta ludzie: popałsia Nawrocki.

II.

Dziwnie przykre wrażenie, gdy, w miarę oddalania się od Warszawy, pociąg jakby się w ciemność zasuwa, a dusza coraz mroczniejsza serdeczną wzbiera tęsknotą za tem, co za nią zostało. Jak bywa w życiu, gdy smutki minione jasną chwilą się zdają.

Przed oczyma ciągle to samo ponure zniszczenie, nawet kształty i barwy zwalonych chat, czarnych samotnych kominów i pól stratowanych jednostajnie bolesne, jednostajnie te same; lecz myśl już znużona, już dalekich marzeń nie snuje o białej, świeżej wsi polskiej, o szczodrym plonie ziarna na przyoranych w ziemię popiołach, o śpiewnej ludzkiej radości, rwącej się, jak wolny potok, przez wydarte przemocy łożysko.

Martwa i głucha leży wieś polska, próżno szukać w niej życia, próżno nasłuchiwać głosu, gdzie na czarnych opalonych drzewach nie zaszemrze liść, a gdy zjawi się tutaj zabłąkany ptak, coraz szersze kręgi zatacza, szuka życia na ziemi, aż mocniej skrzydłami uderzy, aby stąd prędzej, gdzie taki dziwny, niewidziany świat smutków.

Rzadki człowiek po drodze. Oto idzie chyłkiem, jak zwierz żerujący, spłoszył go łoskot,

spojrzał złemi oczyma, już został daleko, a tuż chata przy linii kolei; szara postać wlecze bale zwęglone, z nowa układa widać, chatę sposobi. A dalej bezradna ludzka gromada, i jakby z nieba tu spadły na szczere pole: szafy i stołki, kłęby pościeli i chuda graniata, a pies w nią zapatrzony, jakby pytał: — co będzie?

I znów mroczne pola, las roztargany, i znów gęściej ludzkie siedziby i głosy, zgrzyt hamowanego pociągu i zgrzyt krótkich, jakby rwanych wyrazów, drążących się w mózg, aż do bólu.

* * *

Koluszki! Wysypało się ludzkie mrowisko i biegnie każdy w popłochu, bo tak się wszystkim wydaje, że oto pociąg zaraz odejdzie. Ktoś krzyknął, ktoś nie zrozumiał, ale jeszcze prędzej pośpiesza, a za nim inni, już w trwodze. Już zakłębił się tłum i nagle rozsypał, a przed oczyma w pośpiechu przemyka: tu żółty kufer, welon rozwiany, tam twarz pałająca, dwie trzęsące się brody. Niebieskie dziecko, które wrzeszczy:—Ja nie chcę. I czerwona poduszka, i dwie pelargonie nad wszystkie głowy wzniesione, tragarz z trumną na plecach, człek jakiś niby w tańcu, i pan, któremu nie pilno, a nad tłumem zapartym głos rozpaczliwy:

— Pociąg! Gdzie pociąg!

A tuż cały szereg ludzi spokojnych i patrzą ze wzgardą:

— Europa!... Wiek tu upłynie, zanim stworzy się — ludzi.

Jakaś jejmość, śmielszej natury, do rozmawiających przypadła:

— Panie! pociąg do Łodzi?

— Tak! Będzie pociąg do Łodzi.

— Ale kiedy? O której? — I już ludzie naparli gromadą, pan zaś długą chwilę pomyślał:

— Powiedziano, że będzie.

A w cisnącym się tłumie:

— Co? Co pani powiedział?

— Powiedział, że — będzie.

I znowu, za chwilę:

— Panie! pociąg do Łodzi?

I znowu:

— Co? Co pani powiedział?

Aż dowiedzieli się wszyscy.

Osłupiała, w zadumaniu żałosnem, stoi ludzka gromada. Zwolna w niej wszelka ochota zamiera, na myśli i serca obojętność już schodzi i koi pragnienia, i tuli tęsknotę:

— Powiedziano, że będzie.

Szerokim obozem zaległa publiczność. Ten przysiadł na kufrze, ów ścianę podpiera, a na schodkach rodziny. Zaś gromada leniwie się snuje. Drętwy spokój sączy się w dusze, jak bywa w chwilach wielkiego znużenia.

Zrzadka jakby ocknie się myśl:

— Powiedziano, że — będzie.

. . . .

Ale okazuje się oto, po długiej godzinie, że wogóle tutaj czekać — nie wolno.

— A gdzież? Gdzież się podziejemy, my wszyscy.

Na żałosne pytanie gest hojny, szeroki:

— Hej, świat taki wielki. Za Wołgą jest świat.

* * *

Przed oknami mknącego pociągu z nieznaną na drodze fabryczno-łódzkiej szybkością przesuwa się Galkow, b. p. Gałkówek. Pociąg staje opodal. Bogatą czerwienią lśnią jarzębiny, w ogrodach złoci się owoc, a tam małe poletko chłop już pługiem „obgonił“ i pierwsze skiby u miedzy granicznej odwala. Koń biały, osypany tatarką, szary człowiek, wparty z mocą w capigi, a za nim podlatują dwie wrony. W dali grusza kopiasta, pod nią coś jasną barwą przyległo, a kręgiem wokoło las pola ogarnął.

Pokrzykuje chłop raźno, nasłuchuje chwilami, co niosą mu echa dalekie od lasu, i widno, że radość ma w duszy.

Coś tłucze po borach i dyszy i dudni potężnym parowym oddechem. Het! jak oczy dosięgną pod Kraszew, Zieloną Górę i dalej pod lasy tuszyńskie, łaznowskie wre życie, śmierć niesie.

A w kniejach czarnych, gaistych, gdzie słońce nie zajrzało bezmała od wieku, złoto-jasne płaszczyzny coraz szerzej się kładą między pnie starodrzewu, zgaszone żywoty dawnych rodów leśnego królestwa.

— Czegóż, chłopie, tak ci jasno na duszy?

Gdyby go spytać, radość wnet zbiegnie mu z oczu, twarz się w troskę oblecze i schyli pokornie do ręki.

— A czegóż się ta, proszę łaski pana radować? Tyle oto, że słońce nad głową, tyle oto, że człowiek ziemię pod chlebuś kochany sposobi. Odsie! — a! — siwy.

Kamień pomsty dźwiga chłop w sobie, ale za co—sam nie wie. Każda troska mu luba, która „panów" dosięgnie.

— Kuniec na was pilno już idzie, chłopska krzywda pogania. Żałowaliśta chłopu Boskiej drzewiny, a tera ani się mata na czem obwiesić.

* *

Już Widzew i pierwsze Łodzi pikiety — kominy podniebne, i znów szereg ponury okien, zniszczonych warsztatów. Pod nimi robotnicy gromadami się snują, nieradzi, gdy wzrok się na nich zatrzyma. Czapy głęboko na oczy wciśnięte, niemowni i w myślach skupieni.

— Niedobrze... — ktoś szepnął w wagonie.

Ktoś spojrzał, potwierdził głowy skinieniem, i już wszyscy towarzysze podróży wiedzieli, co w myśli, bo Łódź porozumiewa się często jednym wyrazem.

I dziwno, gdy człowiek obcy, mniej bystry zapyta — dlaczego?

Ramionami ktoś wzruszył:

— Dlaczego? Dlaczego niedobrze, kiedy człowiek jest głodny? Pan jeszcze potrzebuje się spytać: dlaczego?

Lecz po chwili już z uprzejmym uśmiechem:

— Pan nie tutejszy?

— Nie. Jadę z Warszawy.

— Ładne miasto jest też. Potrzebuje pan marki? Dam po pięćdziesiąt i osiem... po pięćdziesiąt i sześć.

— Owszem. Ale jakim sposobem, kiedy...

— Przepraszam -- pan chce sposobu, czy pan chciał zmienić?

A tuż sąsiad półgłosem:

— Po pięćdziesiąt i pięć. Ile mam dać?

Pierwszy Łodzi szept, pierwsze jej wezwanie, w którem cała jej dusza. Do wszystkich usług gotowa, daleka od przesądów i wstrętów, wszędzie duszę i ręce zanurzy, każdy towar ci sprzeda dwa razy, a najchętniej cześć własną, o ile tylko znaczenie tego wyrazu zrozumie.

I tak się wydaje, że wszystkie ich cele, praca w ludzką postać zaklęta, i już patrzy ci

w oczy, czarna i zmięta, a jeden tylko jej wyraz potrzebny:

— Ile?

Ma Łódź także i serce. Lecz kocha tych tylko, którzy silniejsi. Dziś ci, jutro inni... Bo ma także i rozum...

* * *

Nieczuły tutaj jest człowiek, lecz rubel bardzo wrażliwy. Byle pogłoska byle plotka zdaleka, czy zblizka, i już jakby pod ziemię zapada, a wtedy w celach życia człowieka jakby zerwał się pas transmisyjny głównego silnika.

Zaś los, płatający figle, bywa czasem zły. Oto Łódź panoszącą się, bez miary zuchwałą, a niemniej tchórzliwą, Łódź, którą zawsze darzył względami, nagle w radość, tęsknotę i ból, w samo serce ugodził — w pieniądze.

I tak się zdawało, że człowiek zrazu ciosu nie odczuł, lecz odczuł go—rubel. I uciekł strwożony, jak nigdy, za nim pochowały się drobne, a wśród ludności, jako głaz jednolitej, zwartej, nieczułej jak głaz, osłupienie zaległo.

— Co jest?!

Los wtedy cisnął na miasto sto gromów, a człowiek zrozumiał, że przyszedł dzień sądu... Przetrwał dni straszne, aż wyszedł z ukrycia. Rubel jeszcze głębiej się zaszył.

I oto jakby ustał krwi dopływ i życie ledwo się słania. Stąd puste ulice i z miasta zginęły wielkie wozy frachtowe, a z nimi pojazdy i zaparty w poduszki brzuch wyzłocony zbogaconego wyrobnika łódzkiego.

A poczęła się niemoc od chwili, gdy za mieszkania, za sklepy, za dzierżawione fabryki nagle płacić przestano. Ustało jedno kółko złożonej machiny, za nim wnet i drugie, ściśle z sobą trybami wspólnych interesów związane — zamarły, i oto bez myśli, bez celu, jakby senna, snuje się łódzka gromada pośredników, ajentów i patrzy smętna w burzące się, mętne wody życia ludzkiego.

— Tu jest pewny interes, ale—duży strach.

Tymczasem, zanim się przyszłość wyjaśni, zanim strach minie cokolwiek, tymczasem w duszy, zawsze skłonnej do filozoficznych rozmyślań, przeszłość żałośnie z dobą dzisiejszą się splata:

— Były złe czasy: człowiek nie był za człowieka liczony, ale — miał rubla. A dziś on się człowiek nazywa, ale on nie ma rubla. A bez rubla czy on może być człowiek?—Przyczem się spluwa:—On jest ten — kurz.

* * *

Tam, gdzie stał złoty tron tak zwanego polskiego przemysłu, tam dziś w brudnej szarości

i pustce zamarły ulice, tu i ówdzie bokami już trawą porosłe, a wiatr ze śmieciami coraz szerzej tańcuje.

Zmieniona twarz miasta, twarz ciężko chorego człowieka.

Osłupiała, półmartwa, ale niema w niej bólu i smutku, dostojeństwa cierpienia, tylko bladym strachem oczy rozwarte, pytające: kiedy?

— A, no, niedługo... — z zimnym spokojem powiada czarny robotnik, a za nim stutysięczna rzesza:

— Niedługo... niedługo... — jak chóralny śpiew.

A choć śmierć owa niesie z sobą dolę bezlitosną, twardą, w duszach radość płomieniem przemyka, że oto już umrze nienawistny kat.

„— Sędziami wówczas będziem — my!"

Czas szybko zleciał; pieśń swą „aktualność" straciła.

Żywy, dzisiejszy jest tylko — głód.

* * *

Bywa, że padnie pocisk w kałużę; czyści ją wtedy ogniem z zarazy. Nie zamieni jej w źródło krynicze, to pewna, lecz ją może na czas pewien uzdrawia.